Nr. 8. Lwów, dnia 1. Sierpnia 1889. Rok XII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

DZIK.

Studyum przyrodniczo-łowieckie

przez

Władysława Spaustę.

(Dokończenie.)

Sposób żerowania dzika w polu jest tak charakterystyczny, iż nawet w braku wszelkich innych wskazówek, jako to wyraźnych poszlaków, buchtowań, wytłoczeń i t. p. szkoda przez niego wyrządzona da się odróżnić. Cechą najwłaściwszą bowiem są wyplówki, które zawsze na ziemi przy uszkodzonem zbożu spotkać można. Żadne inne zwierzę nie czyni tego.

Wyplówki te wyglądają jakby gruby grys, zmoczony i ściśnięty, tu i owdzie w niekształtnych grudkach porzucony; są to łuski ziarn, wyduszone z zawartości i śliną w grudki pozlepiane.

Wobec takiego szkodnika, osobliwie, gdy się w większej ilości znajduje, jest wszelka kultura rolna mocno zagrożona, i tu leży przyczyna najważniejsza, dlaczego wytępienie tego zwierza przy postępie kultury tak rączo idzie. Intenzywna uprawa rolna i wolny dzik w lasach, są to dwie rzeczy, które obok siebie w żaden sposób istnieć nie mogą. Wolna, a szkodliwa dziełom kultury przyroda musi się nagiąć pod wpływem żelaznej konieczności do ram ściśle określonych. Walka o byt, to okrzyk 19. wieku. Okrzyk ten mas całych wygania leśne bogi i pod ich opieką zostających mieszkańców kniei, mrozi poezyę wolnej przyrody i niweluje wszystko do jednego poziomu strasznej prozy. Szlachetne łowiectwo staje się tylko banalnym sportem strzelania zwierząt na pół oswojonych.

Wszystkie kraje, a w szczególności monarchia austr. węg. wyjęły dzika z pod praw; jest on „vogelfrei“, a patent z d. 13. kwietnia 1786. powiada w §. 3. co następuje: „Czarna zwierzyna może być tylko w zamkniętych parkach utrzymywaną. Jeżeli takowa na zewnątrz parku przydybaną zostanie, wolno każdemu i o każdej porze roku ją zabić, podobnie jak szkodliwe zwierzęta drapieżne.“ Wolne stada dzików na obszarach pojedynczych właścicieli zostają zatem pod opieką władz politycznych kraju na mocy przytoczonych

ustaw państwa; władze te mogą *ex officio* zarządzić wszystko do ich wytępienia, a właścicieli lasu jako moralnych sprawców szkód pociąga ustawa do wynagrodzenia wyrządzonej rolnictwu szkody.

Zdarzają się tu jednak wypadki dość komiczne, wprowadzające w rzeczywisty kłopot tłumaczów ustaw państwowych, a to z powodu, iż winowajca faktyczny usuwa się z pod prawa, a moralny sprawca szkody z trudnością wielką da się skonstatować.

Przy żerowaniu w lesie umie dzik wybrać zawsze najkorzystniejszy dla siebie teren. W dąbrowach rzadko kiedy żołądź jednostajnie zarodzi. Kraje lasów, od pól, przy drogach, liniach i polankach, wystawione na większy wpływ światła, niemniej położenia od północy, gdzie wegetacya później się rozpoczyna, gdzie zatem kwiat dębu nie tak łatwo przez mrozy bywa uszkodzonym, bywają w żołądź obfitsze. Są też one ulubionem miejscem żerowisk, i spotkać tu można bandy, a nawet leże dzików.

Skrzętność drobnych gryzoniów leśnych, a mianowicie norników *(Hypudacus arvalis)* i karczowca *(Hypudaeus glareolus)*, a osobliwie myszy wytokowej *(Mus sylvaticus)*, umie dzik wyzyskać na swą korzyść. Buchtując pomiędzy krzakami, gdzie gniazda z zapasami się znajdują, zjada im całe spichlerze, a gdy się uda — i samych gospodarzy. To samo czyni w późnej jesieni, po zbiorach, z gniazdami i zapasami myszy zbożowej. Obławia on się tu znakomicie, bo w niektórych gniazdach znajduje obfite zapasy doskonałego ziarna. Z szczególniejszem upodobaniem żeruje korzenie trawy, zwanej myszyberem, morgą lub ostrzycą *(Phalaris arundinacea)*, rosnącej na bagnistych, jednak odkrytych miejscach, zjada również korzenie trzciny *(Phragmites communis)* i tataraku *(Acorus calamus)*.

Z opisu wyżywienia zwierza tego można już mieć poniekąd wyobrażenie, o ile obecność jego w lasach szkodliwą być może dla gospodarstwa lasowego. W dąbrowach, przeznaczonych do odnowienia samosiania, może on w samej rzeczy stać się szkodliwym, gdyż skrzętnie wyzbieruje opadłą żołądź, a nawet już kiełkującą wydobywa.

Tylko w nadzwyczaj obfitych latach nasiennych szkodliwość ta ustaje; co więcej, dzik występuje nawet jako kultywator, zakopując buchtowaniem i tratowaniem żołądź, w skutek czego lepiej ona i pewniej kiełkuje. Byłaby to rzeczywista korzyść, gdyby nie nasza świnka domowa, która równie sumiennie tę robotę wykonuje, dając się przytem ręką człowieka kierować i znakomicie spożytą żołądź spieniężać.

W kulturach dębowych, osobliwie gdy urodzaju żołędzi w okolicy nie było, a takowa ze stron dalszych do uprawy sztucznej sprowadzoną została, czyni dzik prawdziwe spustoszenia, a obecność kilku dzików w rewirze udaremnić może w zupełności pracę człowieka. Umią one, idąc sznurkiem wzdłuż rzędów, wybrać do jednej posadzoną żołądź, a podziwienia godną jest ich cierpliwość i systematyczność w tym kierunku.

Szkody wyrządzone w buczynach są podobnego rodzaju.

O oryginalnym a nie znanym mi wcale uszkodzeniu młodzieży bukowej opowiada v. Berg w Deugler's „Monatschrift“ z 2. stycznia 1865. str. 17. W parku zwierza czarnego w Blankenburgu wyrzuca dzik z korzeniem młode buczki a następnie ogryza pniak i korzenie.

Buchtując po zrębach, może dzik również w dwuletnim nalocie sosnowym lub dębowym wyrządzić szkodę przez wyrywanie, a u płytko korzeniących się drzew szkoda ta może mieć miejsce i w późniejszych latach.

Reasumując to wszystko, przychodzimy do przekonania, iż mieszkaniec ten lasu, mieszkaniec bez fałszu i zdrady, wcale wielkim szkodnikiem nie jest, wyjąwszy wyjątkowe wypadki, w których zanadto brutalnie zaznacza swą obecność w lesie, zanadto dobitnie objawia swe gusta i zachcianki. Lecz wszystko na świecie kręci się około mniej i więcej; niewielkie uszkodzenia dzika biją już w oczy i stają się *plus*, podczas gdy skryte działania sześcionogich drobnych szkodników, niewidoczne a zagrażające przyszłości lasów, do *minus* schodzą.

To samo da się powiedzieć i o stosunkowo większych szkodach, wyrządzanych w lasach przez sarny i zające. Niejednego leśnika przyprowadziły owe powabne tanecznice lasów do prawdziwej rozpaczy, a jednak zadaniem naszem pozostanie zawsze: piękny zwierzostan obok minimalnych uszkodzeń w gospodarstwie leśnem. Zaszczytne to zadanie, godne inteligencji człowieka, godne nauki szlachetnego łowiectwa i daleko w przyszłość patrzącego leśnictwa.

Trudno wymagać, aby wobec postępu i zaszłych w jednym kierunku zmian rzeczowych w przyrodzie, mogły być inne zaniedbane i zostawione przypadkowi. Jeżeli ręka ludzka dotknęła raz stosunków wolnej przyrody i zmieniła w jednym kierunku takowe, to zmiana ta musi odbyć się na całym froncie; inaczej zachwiana równowaga grozi zniszczeniem połowicznemu dziełu ręki ludzkiej. Wszechstronność natury nie może znieść jednostronności spekulacyi człowieka, który w swym zapędzie zrywa niejeden skryty węzeł, łączący dzieła przyrody we wspaniałą całość.

Wobec zmiany gospodarstwa lasowego, drzewostanów litych, wprowadzania sztucznych kultur, nieznanych dotąd gatunków drzew i t. p. musi uledz i reszta przyrody leśnej pewnej zmianie, i ta reszta musi być nadal utrzymywaną w równowadze, jeżeli nie ma nastąpić niebezpieczny zamęt. Podczas gdy leśnictwo jest praktyką niedawną, a nauką zupełnie nową, i stało się tem pod naciskiem potrzeby, sięga łowiectwo zgrzybiałych czasów starożytnych.

Leśnictwo, dotykając bardziej materjalnej strony ludzkości kroczy z postępem, łowiectwo zaś pozostało w tyle, cóż więc dziwnego, że te dwie siostry niegdyś, stanęły dziś wrogo przeciw sobie.

Jakąby minę zrobił był właściciel lasów przed dwustu jeszcze laty, gdyby mu kto zaproponował sadzenie małych drzewek w lesie, zakładanie szkółek i t. p. praktyk, dzisiaj już prawie ogólnych? Obecnie żaden z leśników nie namyśla się nawet nad tym przedmiotem, wkłada chętnie w szkółki, w kultury, w motyczenia, odwodnienia i t. p. ale za to irytuje się ogromnie, gdy mu sarny kultury jego uszkodzą, zeszłą akację zające wygryzą i. t. p. Otóż nie irytujcie się, odrzućcie małą cząstkę sumy, jaką wam las rocznie daje, na wyrównanie tego, coście postępem i zmianą w leśnictwie sarnom i zającom ujęli, a uszkodzenia zejdą niezawodnie do minimalnych rozmiarów, do rozmiarów, które wam wynagrodzi na dziś jeszcze tylko estetyczna strona kniei.

Nie tu jest miejsce rozwodzić się dalej nad tym przedmiotem — dodam jedynie, iż ciągłe badanie życia zwierząt w lasach może z czasem doprowadzić do racyonalnego zupełnie rozwiązania problematu. Najszkodliwszemi zaś w tej mierze są urojenia i przesądy, które, jak to nam sąsiednie kraje udowadniają, stały się przyczyną dziwacznych i spaczonych pojęć i coraz większego oddalania się od prawdy.

Trudną jest rzeczą ocenić, czy szkody, jakie dzik w lasach wyrządza, wynagrodzone zostają korzyścią przez wyniszczenie rozmaitych owadów, ale to pewna, że zwierz tak żarłoczny, buchtując ciągle po lesie, ogromne ilości owadów wyniszcza, bądź zjadając je, bądź odkrywając i wydeptując.

Łowy na dzika od niepamiętnych czasów były ulubioną zabawą możnych, jak w ogóle łowy na grubego zwierza w ostępach, puszczach i kniejach były wyłączną prerogatywą właścicieli gruntu. Wonczas, kiedy puszcze i knieje przebiegały łosie, stada jeleni, gdzie niedźwiedź był dość zwykłym — bo zabrakło go dopiero za Zygmunta I., który, jak Bielski w swej Kronice opowiada, takowe z Litwy sprowadzał i do lasów Niepołomickich wpuszczał — zwierz czarny nie miał w łowach tego znaczenia. W czasach dzisiejszych stał się on królem lasów i królem łowów, jedynym zwierzem łownym, którego pobyt w lesie przerywa cokolwiek monotonność łowów, banalne strzelanie zajęcy — jedynym, z którym spotkanie wymaga krwi zimnej, a nawet pewnej odwagi. Ten zwierz napadzisty, w połączeniu z innemi przymiotami, staje się dla myśliwego bodźcem do znoszenia w łowach mozołów i zawodów. Sposoby łowów przeszły tradycyjnie na nas i z małemi zmianami są takie jak dawniej. Jedne wymagają większej ilości myśliwych, inne ograniczyć się mogą nawet do jednego myśliwego, a pod względem wyniku łowieckiego, stosunkowo są korzystniejsze.

Do łowów towarzyskich należy obława ruchoma, która jest tak pospolicie znaną, iż opisywać jej nie potrzebuję. Tu tylko zwrócę na niektóre okoliczności uwagę. Przedewszystkiem, aby łowy obławnicze się udały, należy je w ten sposób zarządzać, aby obława zachodziła dopiero wtenczas, gdy wszyscy myśliwi stoją na swych stanowiskach. Wprawdzie jest to ze stratą czasu połączone, lecz czas spływa prędko temu, kto w ciszy chce poświęcić go obserwowaniu pięknej przyrody. Wszak szlachetne łowiectwo nie zależy tylko na ubiciu zwierza, wypędzonego ze swych kryjówek. Obława następnie, zająwszy swe miejsce z wiatrem, postępuje krokiem wolnym, przystając od czasu do czasu, bez wydawania żadnych krzyków i hałasów. Szelest, chodem ludzi wywołany, jest zupełnie wystarczający, aby zwierza wyruszyć, a wyrusza go daleko pewniej, niżeli dzikie krzyki i hałas, które zbyt często stają się powodem nieudania się łowów. Przyczyna tego jest naturalną. Wrzawa nagonki poucza wcześnie zwierzę o stanie rzeczy i daje mu czas do namysłu. W lasach, w których hałaśliwie polują, zwierz tak się z tem oswaja, iż żadnego to na nim wrażenia nie robi; umie on wyczekać stosowną chwilę i mylić zupełnie szyki człowiekowi. Cichy szelest, szept, posiada zawsze w sobie coś tajemniczego, niezrozumiałego, a przecież w łowach na tak ostrożnego zwierza chodzi głównie o to, aby zajść go sposobem dlań niezrozumiałym.

Spokojną taką obławą osiąga się jeszcze i to, iż polując często, bynajmniej nie niepokoi się zwierzostanu w innych miotach, a wielka w tem korzyść, bo spokój to dewiza, pod którą zwierzostan ustala się i mnoży.

Wprawdzie zdarza się, że i ten sposób zawodzi, gdyż z czasem zwierz do wszystkiego się przyzwyczaja, i albo wcale się nie ruszy, lub zwraca się na obławę; w takich razach nie pozostaje nic innego, jak postępować myśliwym wraz z łańcuchem obławy.

To są prawidła obławy na ślepem lub srokatem polu, gdy leży dzików zbadać nie można. O wiele prościej przedstawia się rzecz na białem polu, po ponowie, gdy zwierz został obcięty i oślakowany. Tu wystarcza jeden człowiek, aby wyruszyć zwierza. Obstawia się myśliwymi przesmyki, jakoteż poszlak, którym dzik wszedł w miot, a jeden człowiek udaje się za poszlakiem i gdy zauważy, że zwierz pomyka w stronę, gdzie myśliwych nie ma, odzywa się w tym kierunku. Jeżeli zwierz obrał kierunek niezwykły, to polowanie rzadko kiedy korzystnie się kończy, a nawoływanie za poszlakiem idącego nie zawsze wskazuje kierunek, w którym zwierz się znajduje.

Łowy z psami wielkiemi, bez broni palnej, z oszczepem, wyjątkowo już tylko w czasach dzisiejszych są praktykowane. Zasadzają się one na wyśledzeniu dzika za pomocą psów, umyślnie do tego układanych, i osadzenie czyli przytrzymanie zwierza przez psy, poczem myśliwy tak ubezwładnione zwierzę oszczepem przebija. Jest to sposób niezaprzeczenie najpierwotniejszy i nie dziw, że dziś już wielu zwolenników nie znajduje. Gdy psy są silne i cięte, zwierz z miejsca ruszyć się nie może, tnie i kaleczy, stojąc lub siedząc, krew psia płynie, a człowiek spełnia tu tylko rolę hiszpańskiego „Espady“. Zapewne, że i tu trzeba wiele przytomności i siły, jednak niebezpieczeństwo dla człowieka nie jest tak wielkie, jakby to się pozornie zdawało, bo brytany, grające tu rolę „piccaderów“ i „banderillerów“ nie puszczają zwierza, gdy się do niego myśliwy zbliża.

Łowy z psami lub psem pojedynczym i bronią palną są powszechnie w użyciu i nastręczają wiele przyjemności. Każdy prawie pies da się do tego rodzaju polowania ułożyć, najlepiej na swojskich świniach. Czem pies jest ruchliwszy i obrotniejszy i innym zwierzem się nie zajmuje, tem lepszy, a takiemu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, jeżeli tylko dobrze wyrozumiał swą rolę i nie gorąco zbliża się do dzika. Jamniki i bastardy ratlerów doskonale się do tego nadają. Przed małym pieskiem dzik wcale nie ucieka; dmucha, sroży się i powoli wynosi się, nie spuszczając z oka obrotów psa. Idąc za głosem pieska, doskonale można go na strzał zejść. Są to zatem łowy nie kosztowne, a bardzo pewne.

O podejściu i zjechaniu dzika w leży wspomniałem już w innem miejscu, tu tylko dodam, że w bardzo małej ilości wypadków zjechanie jest możebne, a to dlatego, iż miejsca leży nie są zazwyczaj przystępne dla sań i konia.

Czaty przy ponęcie wymagają bardzo wiele cierpliwości, jakkolwiek dla prawdziwego myśliwego nastręczają przyjemność, której się nie doznaje przy innych polowaniach. Jako przynęta służyć może najlepiej ścierwo jakiekolwiek, a w braku tego cerealia w snopach, które dzik lubi. Szczególniejszą własność atrakcyjną na dzika wywiera roślina u nas tatarakiem lub kalmusem zwana *(Acorus calamus)*, rosnąca na miejscach bagnistych, przy stawach i moczarach w całym kraju, gdzie się za pomocą wypustów z korzeni rozmnaża.

Aromatyczna woń tej rośliny, a osobliwie łodygi podziemnej, pochodząca od zawartego w niej eterycznego olejku, stanowi doskonałą przynętę na dzika. Łodyga ta, uważana za korzeń tataraku, jest w smaku ostrą i wątpię, aby służyć mogła dzikowi jako żer, pewnem jest wszakże, iż dzik ją w pewnych porach wyszukuje i prawdopodobnie służy mu ona jako środek wzmacniający i podniecający. Popęd ten do użycia środków ostrych, silnie podniecających układ nerwowy, spostrzegać się daje prawie u wszystkich zwierząt; wystarczy, gdy wspomnę tu tylko o pociągu zajęcy do pietruszki i w ogóle do uprawianych roślin baldaszkowych, zawierających olejki eteryczne, lub o korzeniu Kozłka *(Valeriana)*, za którym przepadają koty.

Już woń sama tataraku jest dla dzika przynętą, a przekonałem się o tem kilkakrotnie. Przed laty kilkunastu ustawiłem z rozmaitych rodzajów traw, pokoszonych nad brzegiem stawu, kopiec w lesie, aby zwabić dzika na nie. Spostrzegłem później, że z czterech kopic jedną tylko wyszczególnił on nadewszystko i po kilkakroć na tejże legowiska zakładał. To odznaczenie tej jednej kopicy dało mi dużo do myślenia, a badając dalej, przekonałem się, iż kopica uprzywilejowana składała się prawie z samego tataraku, podczas gdy trzy inne zawierały w sobie inne ostre trawy i turzyce. Później powtarzałem wspomnianą praktykę, a zawsze z tym samym skutkiem.

Pociąg organizmów do środków podniecających nie jest przeto wynikiem kultury, lecz tkwi głęboko w naturze.

Czaty na dzika odbywać się muszą w porze nocnej, a mianowicie z wieczora, kiedy z legowiska wyrusza, udając się za żerem. Miejsce dla ponęty musi być odkryte, jasne, a stanowisko myśliwego zakryte. Najlepsze stanowiska są wzniesione nad ziemią, a ku temu służą najwłaściwiej drzewa. Nastręcza to podwójną korzyść, gdyż przegląd z punktu wysokiego jest lepszy i strzał w porze nocnej z góry na dół, gdy zwierz na białem tle się znajduje, pewniejszy, a wreszcie zwietrzenie myśliwego lub zoczenie przez zwierza mniej prawdopodobne. Zwierz za żerem idący patrzy zwykle tam, gdzie żer zwykł spotykać, a zwraca się w górę li tylko czemś powodowany; zwietrzenie zaś dotyczy najwięcej przedmiotów, znajdujących się na równej wysokości nad ziemią, ruch bowiem powietrza odbywa się zwykle warstwowo w płaszczyznach równoległych do powierzchni ziemi. Korzyści te przy czatach są nieocenione, zwierz bowiem, idąc w ciszy nocnej za ponętą w miejsca odkryte, staje się podwójnie ostrożnym.

Czaty w ogóle, a w szczególności czaty nocne na zwierza czarnego, odkrywają myśliwemu nie jedną kartę z tajemnic przyrody, będących wcale niezrozumiałemi dla nowomodnego sportu myśliwskiego. Dla prawdziwych miłośników przyrody, nawet gdy cel główny zawodzi, są one treściwą skarbnicą doświadczenia i wiedzy. Pora nocna, to pora ciekawych zjawisk prawdziwego ruchu i życia w kniei. Na czatach widzi się to, czego przez całe życie za dnia w lesie spostrzec nie można, pokazują się tu zwierzęta, o których obecności w kniei tylko tropy napotykane świadczyły, inne zaś zwierzęta występują w odmiennem nastroju. W tym ruchu, w tej walce o byt, lub w igrach swobodnych dadzą się najlepiej podpatrzeć zwyczaje i w ogóle życie mieszkańców lasu.

Z opisu budowy dzika wynika, iż zwierz ten posiadać musi wielki zapas siły żywotnej, ztąd pochodzi, że po obrażeniu nawet najważniejszych organów, nie pada odrazu, lecz jeszcze jakąś drogę przebiega. Pada z dymem tylko wtedy, gdy jest trafiony w centra nerwowe (mózg lub szpik pacierzowy), lub gdy komórki sercowe zostaną przeszyte. Po strzale przez płuca, biegnie jeszcze zazwyczaj kilkadziesiąt, a nawet kilkaset kroków, co zależy od miejsca, w którem strzał płuca dotknął; postrzelony zaś w trzewa, uchodzi zwykle i żyć może i dzień cały.

Są to ogólnikowe bardzo podania, gdyż niepodobna opisać tu wszystkich możliwych postrzałów, wobec tylu tak ważnych i mniej ważnych organów, które postrzał dotknąć może. Postrzelony nawet śmiertelnie dzik, nie zawsze posoczy; posoczenie zależy od tego, czy postrzałem przecięte zostało jakieś grubsze naczynie, a powtóre, czy posoka wzięła kierunek na zewnątrz, lub na wewnątrz, wylewając się do jam ciała. Zwykle powierzchownie draśnięty dzik, pozostawia obfitą posokę, a mimo to ucieka i goi się, podczas gdy w komorę trafiony, nie posoczy wcale, lub bardzo skąpo, a pada nieżywy na 50 kroków. Najnieszczęśliwszemi są postrzały w odnóża, gdyż bolesność tych ran najbardziej dzika rozjątrza.

W pewnych porach roku dzik i bez postrzału posoczy. Pochodzi to od lekkich ranek na odnóżach, otartych na ostrem polu. To samo pojawia się, gdy śnieg z wierzchu zaskorupieje, i zwierzę, zmuszone skorupę tę łamać w pochodzie, kaleczy się. Ranki te powstają powyżej stawu koronowego lub cokolwiek wyżej. Zależy to od głębokości śniegu, a posokę zdybać można od przodu na krawędziach poszlaku pojedynczych odnóży. Pochodzi to ztąd, iż zbyt szczupło wydzielająca się posoka nie kapie dalej, lecz ociera się tylko przy stąpaniu.

Piękna sukienka dzika, osobliwie w porze zimowej, stanowi i trofeę myśliwską i ma swój użytek praktyczny; wypchana zaś kompletna głowa służyć może ku ozdobie najwybredniejszego mieszkania, będąc zawsze dla myśliwego miłą pamiątką.

Posiadam sposób preparowania głowy bardzo pojedynczy i przez każdego w domu dający się wykonać, a preparata te zadowolnić mogą i gust najwybredniejszy, bo wyglądają tak naturalnie, jak są na zupełnie naturalnych podstawach wykonane. Zakres niniejszej rozprawy nie pozwala mi tu naprowadzać szczegółów tego preparowania, na żądanie jednak specyalne każdemu z chęcią tego sposobu udzielić mogę.

* * *

Sądzę, że wyczerpałem w niniejszej rozprawie już wszystko główniejsze, co o naturze i łowach czarnego zwierza da się powiedzieć. A teraz życzę wszystkim z młodszej generacyi tych chwil prawdziwej rozrywki i miłych zawodów nawet, ile ja w długim szeregu lat w kierunku tym doznałem, cierpliwego czytelnika zaś, który mi aż dotąd towarzyszył, proszę o pobłażliwość, bo „nieraz myśl ludzka zrywa się do odważnego lotu, a mimo to nie jest w stanie przeczytać pojedynczej karty w księdze wszechświata.“

Przygoda myśliwego.

Miało się już pod jesień i lasy poczęły na siebie przybierać wszystkie odcienia starego złota i purpury, owijać się w melancholijną ciszę i zadumę.

Promienie słoneczne, padając ukośnie, drżały siecią połyskliwych blasków wśród liści żółknących, wśród wrzosów czerwonawych i całowały różnobarwne astry w moim ogrodzie i smętne malwy, wspinające się koło parkanu. Niebo z jasnego błękitu zrzadka tylko pokrywało się tu i owdzie puszystemi, białemi obłoczkami, które prędko znikały lub wieszały się na skraju horyzontu, jak fantastyczne jakieś góry śnieżne. W naturze leżała niczem niezamącona senna cisza, stanowiąca charakterystyczny rys naszej jesieni. Długie nici babiego lata włóczyły się po polach, wieszały na opadłych z liści słonecznikach, na sterczących badylach szaleju, lub wielkich, płaskich, zczerniałych liściach łopuchu i bylicy. Wśród starych olch nad stawem kryły się gromady tłustych szpaków, napełniając całą okolicę nieustannym, ogłuszającym świergotem. Po polach, po rżysku pasły się gromady bydła, a chłopcy wiejscy rozpalali ogniska i piekli w nich kartofle.

Całe dnie przepędzałem w lasach, otaczających moją samotną siedzibę. Zarzuciwszy strzelbę na ramię, szedłem w ogromną puszczę, której szum melancholijny rozmarzał mnie i kołysał mi duszę na tonach olbrzymiej, smutnej pieśni natury. Rzadko wracałem do domu z jaką zdobyczą; zwykle ani razu nie wystrzeliłem, choć napotykałem całe stada kurek wodnych, choć często z pod nóg wysuwał mi się zając lub na jaką polanę wybiegała sarna i topiła we mnie swe łzawe oczy.

Żal mi było dla prostej zabawki mordować te stworzenia, którym życie równie jak i mnie było miłe, do którego zresztą jakieś prawo miały! Nieraz, położywszy się gdzieś na miękkich wrzosach, zasłuchany w olbrzymi szmer wszechbytu, całemi godzinami wpatrywałem się we wspaniałego jelenia, który, pojedynkiem chodząc, wybiegał na polanę, podnosił głowę zdobną w rosochate rogi, węszył i nie spostrzegłszy nic podejrzanego, oddawał się spokojnemu spożywaniu leśnych ziół. Dość mi było podnieść strzelbę do oka i wypalić, by jeleń ten żyć przestał. I po cóż miałem to czynić? Czyż tam, w tym nieskończonym błękicie, który unosił się nademną i zdał się być zadumanym w sobie, nic nie ważyło życie jednego stworzenia? Kto mi dał prawo zabijania choćby najnędzniejszego robaka?

I zagłębiając się w te myśli, znajdując w nich jakąś rozkosz pełną bólu, patrzyłem na jelenia i pozwalałem mu uciekać swobodnie.

— Niech żyje — mówiłem sobie — i niech się cieszy ze swojego istnienia; natura jest dobrą i gdyby nie człowiek, życie w niej rozwijałoby się z idyliczną prostotą i bez rozlewu krwi.

Tak sobie mówiłem i zachwycałem się senną, niezakłóconą żadnym dyssonansem, melancholijną ciszą, jaka mnie otaczała wśród starej puszczy, wśród pięknej jesieni, zdającej się lać balsam na wszystkie cierpienia i wszystkie niedole.

Ale razu pewnego niebo zaciągnęło się mętnemi, szaremi chmurami, gdy, jak zwykle, ze strzelbą na ramieniu wybrałem się do puszczy. Dzień był ciepły, cichy, choć smutny ze swą mroczną powłoką na wszystkiem. Błądząc po puszczy bez celu, roztęskniony Bóg wie za czem, wśród tej tęsknej natury, spostrzegłem, iż niebo z ołowianego stało się czarne i że deszcz poczyna padać. Zrazu drobny i rzadki, zamienił się w tak zwany kapuśniaczek, który zapowiadał długą, może kilkudniową niepogodę. Las zczerniał pod tym deszczem, wśród drzew włóczyć się poczęły mętne, brzydkie mgły, a z zeschłych liści jesiennych, z kiści iglastych sosen i świerków lały się strumienie wody. Przemokłem do nitki i postanowiłem wracać do domu.

Trudno to jednak było wykonać. Rozejrzawszy się dokoła, przekonałem się, że nie wiem, gdzie się znajduję i którędy mi iść należy, by się dostać do wsi. Ta strona puszczy była mi całkiem nieznajomą i widocznie błądząc w zamyśleniu, zaszedłem w jakiś kąt, z którego nie wiedziałem jak wyjdę. Czekać jednak nie było czego. Zarzuciłem strzelbę na ramię, nacisnąłem kapelusz na oczy i śród nieustannego deszczu ruszyłem wprost przed siebie, przekonany, że przecież w końcu dobiję się jakiej wioski, skąd już łatwiej mi będzie dostać się do domu.

Ale szedłem i szedłem i ciągle miałem przed sobą czarny bór, w głębiach którego kłębiły się, przewracały i rozwłóczyły leniwie szare mgły deszczowe. Nie spostrzegałem nic takiego, coby mi pozwoliło zorjentować się, gdzie się właściwie znajduję. Las ciągle mi był nieznany, wzgórza piaszczyste, porosłe sosnami i brzozami, świadczyły, że jestem bardzo daleko od znajomych mi, płaskich i bagnistych okolic. Spojrzałem na zegarek. Była już godzina piąta i wkrótce noc miała zapaść, noc wśród boru, deszczu i mgły, w stronie obcej dla mnie zupełnie. Położenie moje było nie do pozazdroszczenia, zwłaszcza, że najmniejszej nadziei nie miałem prędkiego wydobycia się z tej puszczy.

Noc wśród dżdżystego dnia szybko zapadała, noc czarna, ponura, wyjąca wszystkiemi odgłosami rozpłakanej natury leśnej. A kiedy tu na dole, w pośród drzew, panowały czarne ciemności, niebo było jeszcze dość jasne i widziałem przelatujące po niem gromady wron, dążących na swe nocne legowiska ze złowieszczem krakaniem. Krakanie to rozlegało się po lesie głośno, porywane przez wiatr i tysiącznem echem odbijało się o drzewa.

Błądząc tak ciągle i nie wiedząc gdzie, w którą stronę się obrócić, znękany i znużony, zatrzymałem się pod wielką, rozłożystą sosną, chcąc sobie odpocząć nieco. Ale jeżeli w ogóle deszcz moczył mnie bezlitośnie, to tu ściekały całe strumienie zimnej, lodowatej wody z gałęzi sosny, i oblewały mnie całego. Trzeba więc było iść dalej. Właśnie poprawiałem na sobie fuzję, gdy nagle tuż przy mnie na ciemnem tle lasu zarysowała się czarna, olbrzymia sylwetka człowieka i rozległ się głos gruby i surowy:

— Kto tu?

Zmieszałem się trochę; człowiek, który przedemną stał, wydawał mi się być ogromnego wzrostu, a głos jego miał jakiś odcień ponury i groźny.

— Zbłądziłem! — odrzekłem — czy nie wiecie, jak daleko ztąd do Brzozówki?

— Do Brzozówki? będzie dobre trzy mile.

— Trzy mile? to być nie może! Czyżbym tak daleko uszedł? Kto jesteście mój przyjacielu?

Przysunął się do mnie blisko i zdawał mi się wśród tej ciemnej nocy ciekawie przypatrywać. Widocznie miał dobry wzrok, bo ja nic nie widziałem, prócz czarnych jego kształtów.

— Panicz z Brzozówki? — spytał.

— Tak.

— Hm! to daleko, bardzo daleko i jeszcze na taki psi czas.

— Doprowadźcie mnie tylko do drogi, jakoś dojdę tam przecie.

— To się na nic nie zda. Kto po takiej nocy chodzi? Chyba tylko wilkołaki i upiory. Ja jestem gajowym tych lasów. Do gościńca ztąd będzie ze trzy wiorsty szkaradnej drogi po wertepach.

— A wy daleko ztąd mieszkacie? — zapytałem, postanowiwszy szukać schronienia pod dachem gajowego.

— Nie, nie daleko. Tam zaraz za górką. — I wyciągnął długą swą rękę w kierunku zachodnim.

— Możebyście przyjęli mnie do siebie na noc? Poczekam do rana i świtaniem pójdę w swą drogę.

Milczał przez chwilę, potem usłyszałem chrzęst strzelby poprawianej na plecach i słowa:

— A no... chodźmy.

Ruszył naprzód. Pod jego krokami szeleściały opadłe liście z drzew, trzaskały gałęzie i głośno chlupała woda, tworząca się z deszczu po wszystkich zagłębieniach gruntu. Szedł w milczeniu; od czasu do czasu słyszałem tylko ciężkie westchnienie, wydobyte z głębi piersi, jak gdyby coś dolegało temu olbrzymowi.

Weszliśmy na wzgórze piaszczyste, na pół nagie, porosłe kilku młodemi sosnami, pełne pni i krzaków. Od bladego nieba na zachodzie było tu nieco widniej. Gajowy zatrzymał się, zwrócił się do mnie, i jąkając się, wahając, przerywając sobie, rzekł:

— Proszę pana.. hm... mówiąc prawdę, to nie będzie panu wygodnie u mnie w chacie... jedna izba... żonę mam chorą...

— A cóż jej jest?

— Cóż? chora!... juścić nie mogę pana zostawić samego w boru na taki czas i po nocy. Leje jak z cebra i wicher też jest. Brr! — otrząsł się i dodał:

— Psa żal wygnać na świat, a cóż dopiero człowieka.

— Mój przyjacielu — odrzekłem — jeżeli ci mam przeszkadzać lub w czemkolwiek moja obecność może ci być nie na rękę, to chciej mnie tylko doprowadzić do gościńca, a już ja sobie dam radę. Może spotkam jaką furmankę, jaką karczmę i tam przenocuję.

— Gdzie tu jaka karczma w tej puszczy! Tu świata nie widać, zwierz dziki jeno się przemyka.

Machnął ręką, poprawił z brzękiem strzelbę i rzekł:

— Chodźmy, bo woda za kolana się leje.

Począł się spuszczać ze wzgórza, na którem staliśmy i mruczał:

— Ostrożnie, bo tu pniaków dużo; żydy latoś wycięli tu sosny na spław i pni jest jak nasiał.

Splunął, zatrzymał się i rzekł:

— Nie ma panicz siwuchy?

Miałem prawie pełną plecionkę dobrej nalewki wiśniowej, więc podałem ją memu towarzyszowi; pił długo i z widocznem zadowoleniem.

— Hm! — rzekł, oddając mi pustą plecionkę — wódka dobra i na taki czas rozgrzewa człeka.

Schodziliśmy ze wzgórza, a raczej ześlizgiwaliśmy się po mokrych, gęsto leżących tu liściach. Noc była tak ciemna, że z trudnością mogłem rozpoznawać sylwetkę gajowego, i kilkakrotnie prosiłem go, żeby się nie spieszył, bo go mogę stracić z oczów zupełnie. Milczał przez długi czas, w końcu odezwał się zwykłym sobie, wrzaskliwym tonem:

— Nie będzie tam panu u mnie dobrze.

— Czemu?

— Żonę mam chorą.

Widocznie coś mu ciążyło i chciał się przedemną usprawiedliwić.

— A cóż jest waszej żonie?

— Ej! a cóżby było? choróbsko i basta!

— Dawno choruje?

— Minęło na św. Michał dwa roki.

— Dwa lata i nie radzicie się doktorów?

Zatrzymał się na chwilę, i zdawało mi się, że widzę w jego oczach ponury jakiś blask.

— Doktorów! — zawołał — na doktorów trzeba pieniędzy, a ja nie mam.

— Ale cóż jest waszej żonie?

— A niby nic, ale opętało ją coś...

— Jakto opętało?

Nic nie odrzekł, tylko przyspieszył kroku i mruczał coś pod nosem; gałęzie głośno trzeszczały mu pod nogami, a po nad lasem ciągle płynęły gromadami kawki i żałośliwy ich pisk i krakanie rozlegało się donośnie.

Czasem, zestraszony naszemi krokami, zrywał się z drzewa jaki ptak nocny i z głośnym łopotem skrzydeł ulatywał.

Nakoniec wydostaliśmy się z lasu na niewielką polanę i słychać było jak psy ujadają.

Było tu widniej. Resztki blasku dziennego włóczyły się posępnie po tej polanie i po chacie, czerniejącej w głębi, krytej strzechą, nadając wszystkim przedmiotom dziwnie melancholijny i niewypowiedzianie smutny pozór. Woda deszczowa potworzyła na polanie kałuże, które od białego nieba błyszczały jak tafle szkła.

Z chaty wybiegł wielki pies i warcząc, zbliżył się do nas...

— Do budy Burek! — zawołał gajowy.

Burek popatrzał na mnie krwawemi ślepiami i powlókł się przodem leniwie, z ogonem spuszczonym, z siercią najeżoną. W chacie świeciło się i przez maleńkie okienko widać było czerwony blask gorejącego ognia. Padał on długą smugą na błoto polany i przeglądał się w wodzie deszczowej.

Weszliśmy do ciemnej sionki, przecinającej chatę na dwie połowy i słuch mój uderzony nagle został pewnym rodzajem niewysłowionego jęku, jaki dobywał się z izby na prawo. Jęk ten, mięszając się z wyciem wichru i pluskiem deszczu, rozpływając się w szumie puszczy, robił na mnie straszne wrażenie. Zatrzymałem się w sieni zdziwiony, niepewny co czynić; miałem chęć uciec ztąd natychmiast gdzieś daleko, choćby w las na deszcz i burzę, byle jęku tego nie słyszeć. Drżał on bólem i skargą, był cichy, a przecież donośny i miał w sobie żal jakiś ogromny. Był to niby śpiew i czasem rozróżniałem w nim pojedyncze wyrazy.

— Hm! — rzekł gajowy — widzi panicz, nie będzie nam tu dobrze.

— Ale co to jest? — zapytałem.

— To moja tak płacze.

Cóż jej jest?

Podniósł wskazujący palec do czoła i zrobił na niem kółko, dając tem poznać, że jego żona jest niespełna rozumu.

Stałem ciągle nieruchomy i wsłuchiwałem się w ten dziwny jęk. Nagle poruszyło się coś w izbie; jęk na chwilę ucichł, by zmienić się w śpiew. Śpiew był żałośliwy, rozpłakany, wił się na tle plusku deszczowego i szumu puszczy, jak nić spłowiałej peli na kanwie. Wyraźnie rozróżniałem słowa, któremi matki usypiają dzieci:

Aaa, kotki dwa,
Szare, bure obydwa.

Śpiewała to kobieta z monotonną jednostajnością; bez zmiany w tonie powtarzała ciągle owe dwa wiersze. W głosie nie było czuć najmniejszego nawet odcienia wesołości; był on smutny, strasznie smutny. Zdawało się, że nakręcona pozytywka wygrywa ciągle jednę i tę samą, melancholijną piosenkę.

Gajowy westchnął i pchnął drzwi... Weszliśmy do izby: Na kominie, na tak zwanym cyganku z okapem u góry, palił się ogień. Drzewo, widać, było mokre, bo dymiło mocno i ogień słabo oświecał tę izbę, której kąty były czarne, pełne włóczących się posępnych cieni. Przed ogniem, jasno przezeń oświecona, stała młoda, wątła, szczupła kobieta. Na głowie miała chustkę czerwoną i z pod chusty tej wysuwały się w nieładzie kosmyki, niegdyś czarnych, dziś siwych zupełnie włosów i spadały na czoło blade i szkliste, jak kość wysuszona przez wiatry i słońce. Twarz ta była jeszcze młoda i tworzyła dziwny, smutny kontrast z siwemi włosami. Wielkie czarne oczy, powleczone gazą łez, patrzały bezmyślnie w ogień. Postać cała była gibka i składna. Stała, kołysząc na rękach owiniętą starannie w brudne chusty szczapę drzewa, śpiewając swe nieskończone:

Aaa, kotki dwa,
Szare, bure obydwa.

Gdyśmy weszli, nie odwróciła się, nie spojrzała na nas, jakby dla niej świat cały nie istniał. W milczeniu usiadłem na ławie i patrzyłem na to dziwne, niesłychanie przykre widowisko. Ten jęk, bo nie był to śpiew, rozdzierał mi duszę. W ówczesnym stanie mego umysłu, w ustroju mych nerwów, zdawało mi się, że jakiś ciężki, bolesny sen mnie dręczy, że to, co widzę, nie dzieje się na jawie.

Gajowy postawił strzelbę w kącie, popatrzył na kobietę i zbliżył się do mnie... Mogłem teraz widzieć dokładnie całą jego olbrzymią postać, jego szerokie barki, wielkie siwe wąsy i twarz przedwcześnie postarzałą, pobrużdżoną, brunatną od słońca i smutną. Usiadł ciężko na ławie obok mnie, westchnął i rzekł:

— Nie będzie tu paniczowi dobrze.

Mówił prawie szeptem, jakby lękał się zbudzić jęczącej wciąż przed kominem kobiety, kołyszącej się w takt melancholijnej piosnki i tulącej do swych piersi suchą szczapę drzewa.

— Skądże jej się to wzięło? — spytałem gajowego.

— Skąd? przyszło samo...

— Ale przecież musiał być jakiś powód?

— Powód! Juścić był, jakże by było bez powodu. Ale to teraz nie ma co gadać. Nie ma panicz jeszcze kapki tej gorzaliny? Straszniem zmarzł!

Podałem mu plecionkę i wysączył ją do dna... Obtarł wąsy, oparł łokcie na kolanach i głowę ukrył w dłoniach, pogrążając się w jakieś dumy niewesołe... A kobieta wciąż stała przed ogniem, tyłem do nas zwrócona i wciąż nucąca swą piosnkę o kotkach burych i szarych.

Znów, powodowany ciekawością, której się oprzeć nie mogłem, powtórzyłem zapytanie, jakie były przyczyny tej choroby.

Podniósł głowę i swój wzrok smutny i dziki wlepił we mnie; obie ręce ciężko spuścił na kolana, a potem wstał i rzekł:

— A cóż? dwa roki temu, było tu w puszczy wielkie polowanie. Jakiś książę niemiecki przyjechał, mnóstwo panów i polowanie było. Kazali nam gajowym i strzelcom zwierza wypatrzyć i pójść na Bugaj, gdzie bór jest najdzikszy. Trzy mile ztąd jak obszył. Mówię do podleśnego: „Panie, mnie żona chora, dziecko mi się urodziło, jakże ją samą w chacie zostawię?“ „Dureń jesteś — rzeknie podleśny — mnie też dużo obchodzi twoja żona i twoje dziecko. Kpie jakiś, nie wiesz, że książę niemiecki przyjechał? Jak nie będziesz na stanowisku, to won!“ Cóż było robić, poszedłem. A ona mi gada: „Pietrek, nie chodź, bo ja zamrę! Pietruś, moje złotko nie chodź!“ Tak się panie prosiła, jakby coś przeczuwała...

Wstrząsł się cały, jakby dreszcz po nim przeszedł, obejrzał się na kołyszącą się wciąż przed ogniem kobietę i mówił swym grubym głosem, w którym drżała jakaś nuta gniewu i oburzenia.

— Ofuknąłem ją, boć chleb pierwszy. A ja tu gajowy panie jestem od takiego pędraka i ojciec mój byli gajowym i dziad jeszcze pono. Gdzie mnie żyć bez pomocy! Wziąłem strzelbę i poszedłem, nie spojrzawszy nawet na kobietę, choć leżała w łóżku i była blada, jak chusta. Czas był zimny, w nocy brały przymrozki i po boru wichry chodziły i jęczały jak duszyczki czyścowe. A ona sama została tu w chacie z dzieciną.

Znowu przerwał, znowu spojrzał na żonę, wciąż odwróconą do nas tyłem i zdającą się nie wiedzieć o naszej obecności.

— Polowanie było. Przez trzy dni chodzić musieliśmy po puszczy z księciem i panami i jak podleśny gadał, książę dziwił się naszej puszczy. Był to pan młody i wesoły i śmiał się ciągle. Trzeciego dnia w nocy upadł śnieg i ponowa. Jakże tu dalej nie polować? Mówię tedy do podleśnego: „Pójdę panie już do chaty, trzy dni tam nie byłem, żona mi chora.“ „Wara! — powiada — nie widzisz ośle, że książę chce polować?“ Zimno było, a wiedziałem, że w chacie drew nie ma... Myślę sobie, co ona tam biedaczka pocznie? Ale cóż, służba i chleb pierwszy. Polujemy czwarty dzień, książę się bawi i panowie się bawią. Wieczór czwartego dnia woła mnie podleśny. „Zagroda! — ozwie się, bo ja mam takie przezwisko — jutro staniesz przy księciu i pokażesz mu, jak strzelasz.“ A strzelam panie dobrze, to już od maleńkości. Ojciec mnie uczyli i po karku tłukli, gdym chybił. Myślę sobie, piąty dzień... O la Boga! co ona sama tam w chacie robi?

Siadł na ławie, jakby nogi go utrzymać nie mogły i mówił ciągle szeptem, który dziwnie odbijał się od żałośliwego śpiewu jego żony.

— Stoję tedy przy księciu... Wyszedł na nas łoś, a rozwścieczony był, bo go psy kąsały. Książę zmierzył i chybił, zwyczajnie Niemiec. Poprawiłem i łosia położyłem, a książę do mnie coś szwargocze. Nie wiem, co odrzec, zdjąłem czapkę ze łba i stoję. Zawołali jakiegoś pana, a ten mi powiada: „Dobrześ się spisał, książę jest z ciebie kontent.“ Myślę sobie, kiedy kontent, to niech mnie pozwoli wrócić do chaty. Pokłoniłem się księciu do kolan i rzekę:

— Proszę jaśnie pana, mnie żona chora w chacie, sama tam jest... Zmiłujcie się, pozwólcie mi odejść. Syn mi się urodził i położnica sama jest jak palec.

Poczęli ze sobą szwargotać, a ów pan obróci się do mnie i mówi:

— Daleko do twojej chaty?

— Ze dwie mile.

— A kościół tam blisko?

— Pół milki.

— To dobrze. Jedziemy tam zaraz. Książę ci dziecko do chrztu będzie trzymać.

Śmiali się, wesoło rozmawiali, zacierali ręce i trąbić zaczęli, by się schodzili wszyscy. Cieszyłem się panie, bo jakże się było nie cieszyć, i wszyscy strzelcy i gajowi mi zazdrościli. Oto, powiadają, ten Zagroda w czepku się rodził. A mnie coś koło serca bolało i byłem panie taki niespokojny, jakbym stał bosą nogą na rozżarzonych węglach. Zbierają się długo, aż się zebrali i ruszyli wszyscy. Gdzie ja ich pomieszczę w chacie, myślę sobie, tacy wielcy panowie.

Przyjechaliśmy przecie. Patrzę... Burek siedzi na przyzbie i wyje, a z chaty słychać taki śpiew, jak oto teraz. Pierwszy wpadłem do izby... at, co to gadać panie. Trupka zastałem, a kobieta śpiewała, śpiewała jak teraz. Chodziła po izbie w koszuli i boso, choć zimno było i trupka kołysała na rękach. Markotno było wszystkim, a podleśny wrzeszczał na mnie: „Bodaj cię piorun trzasł, z twoim szczeniakiem! Książę się chciał zabawić, a ty chamie popsułeś mu humor.“ Niech pan powie, czy ja temu co winien? Podleśny mnie chciał wypędzić jeszcze za to, ledwiem go uprosił...

Tymczasem kobieta przestała śpiewać, odwróciła się do nas twarzą i wlepiła swoje duże, błędne, czarne oczy we mnie... Gajowy powstał, wziął ją za rękę łagodnie i poprowadził do łóżka w ciemnym kącie izby. Tam ułożył jak dziecko do snu, otulił i zwróciwszy się do mnie, rzekł:

— Nie ma tu gdzie spać.. na ławie chyba.

— Nie, bracie, — odrzekłem — spać nie będę; dołóż drew na komin, przesiedzę tak do rana.

O świcie, wśród ciągłego deszczu, opuściłem chatę gajowego, samotną, prostą chatę chłopską, w której rozegrał się taki straszny dramat... *W. P. W.*

Z obcych światów.

IV.

Sto dziesięć dni na błotach.

(Wedle relacyi bar. L. Kalbermattena.)

...Zaopatrzywszy łódź moją we wszelkie niezbędne przybory i prowiant, oraz we dwa t. zw. „czikele“, t. j. małe czółenka błotne, wyruszyłem dnia 22. kwietnia 1887. o godz. 3. rano z Apatinu, stacyi żeglugi parowej na dolnym Dunaju, i puściłem się z biegiem rzeki ku Plawnie.

Cichutko sunęła się łódź po lekko marszczonej powierzchni potężnego Dunaju, którego brzegi, przystrojone ostrowami, będącemi już w pełnej zieleni, rozkoszny przedstawiały widok. Wiatr sprzyjał żegludze żaglowej, a żem miał na pokładzie zwój płótna żaglowego, postanowiłem ułatwić sobie podróż. Przybiliśmy tedy w okolicach Wukowaru do małej a zalesionej wysepki dunajowej, a wyciąwszy gładkie, równe drzewo, sporządziliśmy w jednej chwili maszt i przyczepili doń żagle. W ten sposób, korzystając z pełnego wiatru, zawinęliśmy już o godz. 8. wieczorem do Nowego Sioła, gdzieśmy noc przebyli. Kartofle i kilka dzikich kaczek, ubitych w ciągu dnia, stanowiły naszą wieczerzę.

Ledwie zaświtało, już o godz. 3. rano ruszyliśmy pośród burzy w dalszą drogę. O godz 2. po południu przybyliśmy do Nowego Sadu, a w godzinę później płynęliśmy dalej, lecz burza i gorsza od burzy mgła, zmusiły nas już o godzinie 7. pod wieczór przybić do brzegu w okolicy Plawny i tu zanocować. Trafiła mi się tu pierwsza zdobycz myśliwzka, wspaniały p u h a c z, którego ubiłem.

Nie opuszczała nas burza, gdyśmy nazajutrz o godz. 3. rano ku Belgradowi zdążali; owszem, wybuchła gwałtownym gradem, tak, że musieliśmy w Szlankamenie wylądować. Gdy się uspokoiło, ruszyliśmy dalej ku Belgradowi. Zauważałem tu mnóstwo białych i czubatych czapli, które zdążały ku wielkim błotom Kupinowskim. Między czaple zaplątał się także o r z e ł b i e l i k *(Aquila albicilla)*, którego na 60 kroków ubiłem. Był to okaz wspaniały.

Dalsza nasza podróż była dość monotonną. Brzegi Dunaju są tu wysokie, gliniaste i nie przedstawiają żadnej rozmaitości. Nadto moczył nas gęsty deszczyk, z którym przybyliśmy wieczór do Zemunia (Semlin).

Z uwagi, że zapasom moim groziło zupełne przemoczenie, uprosiłem sobie u jednego z kapitanów statków parowych, że pozwolił mi zająć stanowisko pod pudłem koła okrętowego, tak, że byłem od deszczu ochroniony. Dnia następnego — a był to 1. maj — poczyniłem zakupna w Zemuniu, a mianowicie zaopatrzyłem się w tytoń i w serbskie „opanki“, t. j. chodaki, potrzebne moim ludziom do wycieczek po błotach. Około północy wziął gościnny parowiec łódź naszą na linewkę, ażeby nas rzeką Sawą w górę ku Samaczowi w Bośnii remorkować. Pięć dni zajęła nam ta jednostajna i nic ciekawego nie przedstawiająca podróż. Tu pożegnaliśmy się z parowcem i jeszcze tego samego dnia, t. j. 6. maja, puściliśmy się z prądem Sawy na dół, ku Raczy. Po drodze buszowaliśmy po okolicznych moczarach, które wszakże okazały się dość pustemi. Jedynym ciekawym ptakiem, jakiego tu upolowałem, był s ę p k a s z t a n o w a t y *(Vultur monachus, Mönchgeier)* o sięgu skrzydeł, wynoszącym 2·40 metrów. Błota około Samaczu, wyjąwszy niewielu czapel i kani, nie przedstawiały nic ciekawego z zakresu błotnej fauny.

W Raczy (na gran. Bośnii), gdzie miałem zamiar kilka dni pozostać, rozbiliśmy obóz u brzegu lasu. Miękki, bujny mech dostarczył nam wybornych poduszek, a gęsta ściana leśna chroniła namiot od wichrów i deszczu. W ciągu czterodniowego pobytu robiłem tu częste wycieczki nad brzegami rzeki i w gąszcze lasu, będącego istnym lasem dziewiczym.

W jednej z tych wycieczek napotkałem gniazdo orła bielika na szczycie olbrzymiego dębu. Przeczekałem tam do wieczora, kiedy stare wracały do giazda, i ubiłem samicę, poczem jeden z mych towarzyszy z niebezpieczeństwem życia wydrapał się na drzewo i zniósł młode z gniazda.

Czwartego dnia zbliżył się do nas wieśniak, przywabiony niezwykłem widowiskiem naszego namiotu, a zapuściwszy się z nami w gawędkę, rzekł nam, że po nad Driną, w odległości mniej więcej dwudniowej podróży pod wodę, gnieżdżą się jakieś dziwne, pięknie ubarwione ptaki, których on nie zna. W skutek tej relacyi wyruszyliśmy do ujścia Driny, a stamtąd ciągnęliśmy przez dwa dni statek nasz pod wodę i nadybaliśmy istotnie gniazda ptaków, o których nam rzeczony chłop wspominał. Były to żołny właściwe *(Merops apiaster)*, należące w istocie do najpiękniejszych, lecz dość często w Europie pojawiających się ptaków. Na piaszczystych brzegach rzek gnieżdżą się one w poziomo wygrzebanych 3 do 6 stóp głębokich dziurach, które przy końcu kociołkowato się rozszerzają. Tu na mchu i źdźbłach suchej trawy składa żołna jaja i wylęga młode. W czasie mego pobytu nie znalazłem wszakże ani jaj ani piskląt, gdyż ptaki te gnieżdżą się dopiero z początkiem czerwca. Robiąc te poszukiwania, ubiłem kilka pięknych kobuzów.

Po dwudniowym pobycie ruszyliśmy z powrotem ku ujściu Driny, a podróż ta wymagała niesłychanej ostrożności, gdyż łożysko rzeki jest nastroszone skałami, na których łatwo się rozbić. Droga nasza była tem uciążliwszą, iż musieliśmy jeszcze nasze „czikele" do łodzi przyczepić. W czasie tej drogi wylądowałem raz na serbski brzeg i tu udało mi się ubić orła przedniego *(Aquila fulva)* który szybował ku Dunajowi. Bliżej ujścia Driny trafiliśmy jeszcze na pielesz, na której się mnóstwo mew gnieździło, lecz nie mogliśmy na nie zapolować.

Przybywszy do ujścia Driny, przekonałem się, że łódź nasza tak ucierpiała, iż dalsza podróż nią stawała się niebezpieczną. Sprzedałem ją przeto pewnemu rybakowi, a nająłem natomiast duży, chłopski wóz w trzy konie zaprzężony. W wozie tym, oprócz nas trzech, prowiantu, amunicyi i broni musiało się jeszcze znaleźć miejsce na oba czółenka i namiot.

Teraz dopiero można było przedsięwziąć dalsze wycieczki w okolicy Raczy. Jedną z ważniejszych było badanie błót czarnolewskich, na których posuwanie się czółnem z powodu licznych poplątanych korzeni i całego lasu trzciny, tu i owdzie z łoziną zmieszanej, było nadzwyczaj trudne. Zresztą woda tych błót jest bardzo zimną, całkiem odmiennie, niż w innych bagniskach.

Zapuściwszy się na pół mili w ów błotny labirynt, odkryłem na wysokim dębie gniazdo orła włochatego *(Aquila pennata)*. Przypuszczając, że są w niem młode, poleciłem Miszkowi, słudze mojemu, ażeby się wydrapał na drzewo i rzecz zbadał. Miszko podpłynął cicho pod drzewo i zaczął się wspinać. Mógł już być w połowie pnia olbrzymiego, gdy jedno z orlej pary, zmiarkowawszy niebezpieczeństwo, ukazało się w górze nad dębem i jak kula spadło na gniazdo. Widząc to, dałem dwa strzały i orlica spadła u stóp moich. Ale i młode orlęta umiały się bronić. Dwoje ich wydobył Miszko z gniazda, a gdy zlazł na dół, miał ręce i twarz szponami ich dobrze podrapane.

W pobliżu tego dębu było gniazdowisko czapli siwej *(Ardea cinerea)*. Młode były tu już podrośnięte, podczas gdy na innych błotach znajdowałem dopiero samice na jajach. I tutaj woda bagniska okazała się do tego stopnia zimną, że nawet mimo wysokich butów nie mogłem w niej wytrzymać. Ile zaś czapli tam było, dość powiedzieć, że w ciągu jednego dnia zabiłem 150 sztuk tych ptaków.

Z powrotem z Raczy natrafiłem przypadkiem na norę lisią. Kazałem kopać, aby wydobyć młode, a przy tej sposobności ubiłem starego mykitę, gdy z jamy się wymykał. Gdy zaś w okolicy Czernolewa wybuchła czarna ospa, opuściłem tę okolicę i wróciłem do mego obozowiska nad Sawą.

Zajęliśmy się tu preparowaniem skórek ptasich i przygotowaniami do dalszej podróży. Ilość wszelakiej zdobyczy łowieckiej wzrosła już była do takich rozmiarów — oprócz skórek zwierząt ubitych miałem 25 sztuk żywych okazów — że nająłem drugi wóz o trzech koniach i tak dopiero puściłem się do Syrmii. Czas był szkaradny, deszcz lał strumieniami, a skutkiem tego leśne drogi przemieniły się w jedno wielkie bagno. Około Morowicy ugrzęźliśmy też w błocie, tak, że dopiero po siedmiu godzinach nadludzkich usiłowań udało nam się ruszyć dalej. Przemokli do nitki i znużeni niesłychanie, stanęliśmy zaledwie o godz. 1. po południu w Morowicy.

Mimo znużenia, zapragnąłem wszakże zapolować na czarne bociany, które w tej okolicy się gnieżdżą i za pośrednictwem miejscowego popa uzyskałem na to pozwolenie. Wynikiem mej wyprawy były trzy ubite sztuki tych rzadkich ptaków.

Następnego dnia ruszyliśmy w dalszą drogę równo ze świtem. Wkrótce znaleźliśmy się w zmroku puszczy leśnej, a ja zeskoczyłem z wozu, żeby nieco puszczę przeszukać. W starym, dziuplastym dębie znalazłem niebawem gniazdo puszczyków. Pukając w pień, wypłoszyłem samicę z gniazda i ubiłem ją, dwoje zaś piskląt zabrałem żywcem do niewoli.

Gdy deszcz nie ustawał i mgła coraz gęściejsza osiadała wśród drzew, zrobiło się tak ciemno, iż nie mogłem dalej po lesie buszować i wróciłem do naszej karawany. Byliśmy już nie dalej, jak o milę drogi od najbliższej stacyi, t. j. od Adaszewca, gdy wozy nasze wpadły po osie w bagno. Próbowaliśmy je wydobyć, lecz nadaremnie; nawet wszystkie sześć koni, zaprzągnięte do jednego wozu, nie zdołały go z miejsca ruszyć. Dziewiętnaście godzin staliśmy wśród tej dzikiej puszczy i wśród ulewnego deszczu i ani na krok nie posunęliśmy się naprzód.

Była już godzina 9. wieczorem i ciemno, że oko wykół, gdym kazał dwa konie wyprządz, i wziąwszy Miszka, udałem się wierzchem do Adaszewca, ażeby tam koni na pomoc zarekwirować. Wszelkie namowy, aby kogoś do udzielenia pomocy nakłonić, na nic się jednak nie przydały; wróciliśmy tedy nocą, a ciągle wśród deszczu, do naszych, ażeby się dnia doczekać.

Następnego poranku nadjechał przypadkiem chłop dwoma silnemi końmi. Nie miałem nadziei namówić go, ażeby nam dopomógł, ale spróbowałem przecież podstępu.

— Hej! — zawołałem — Co chcesz za swe szkapy? Kupię je i dobrze zapłacę.

— Nie są na sprzedaż, gospodinie — odparł chłop.

— Ej! Nie masz się niemi co szczycić — rzekłem drwiąco — gdyż są za wąskie w piersiach, a jeden nawet ochwacony. Dla mnie byłyby za słabe!

— Tak mówicie gospodinie! — zawołał stary, pełen oburzenia, że śmiem ganić jego rumaki. — No, zobaczymy! A co mi dacie, jeśli was niemi z błota wyciągnę?

— Dobry poczęstunek cię nie minie — rzekłem — byle tylko twoje szkapiny miały dość siły!

Chłop nie pozwalał dłużej z siebie drwić; zaprzągł do wozu swoje dwa silne gniadosze i w istocie ruszył. Tak więc po 19 godzinach przymusowego popasu, puściliśmy się w ośm koni w dalszą drogę, a po dwóch godzinach jazdy, gdyśmy już najgorszą część drogi przebyli, podziękowałem dumnemu ze swych koni chłopu, wynagrodziwszy go odpowiednio. Na trzeci dzień, minąwszy Wukowar, przybyliśmy do Czepina w Slawonii, skąd odesłałem najęte wozy do domu.

Dalsza moja wyprawa odbyła się na czółnach, a celem jej było zbadanie olbrzymich błót kołodyawarskich. Błota te obejmują 1700 morgów obszaru, a są tak trzciną i sitowiem, tu owdzie zaś rokiciną porosłe, że poruszanie się na nich przedstawia bardzo wiele trudności. Tysiące tysięcy ptaków błotnych ma tu swe pielesze, a szczególniej w owej porze, w której na błota te przybyłem, rozlegał się na nich taki plusk i taki krzyk, że byłem nim formalnie ogłuszony.

Przerznąwszy sobie mozolnie drogę przez gęsty las oczeretów, przeciągnąłem nią moje czółna, napełnione prowiantem, amunicyą i zdobyczą łowiecką, i po kilkogodzinnej twardej walce z kłębami korzeni podwodnych, z ostrymi liściami trzcin i turzyc, dostałem się na rodzaj wysepki, mierzącej w szerz 6, a na długość 20 metrów. Była to kolonia czapel i wprost pośród niej postanowiłem rozbić obóz na dwa miesiące.

Wzięliśmy się raźno do pracy. Przedewszystkiem wybudowaliśmy szałas z trzciny, rodzaj klatki dla 28 sztuk żywych zwierząt, którem wiózł ze sobą. Drugi podobny szałas służył za mieszkanie dla mych towarzyszy, do niego zaś przypierał mój namiocik. Zbudowaliśmy także osobny szałas na skład amunicyi i na laboratoryum do preparowania naszych skórek. Wszystko to było równie malowniczem jak niewygodnem i przypominało cygańskie koczowiska.

Najwięcej troski sprawił nam brak wody. Wykopaliśmy studzienkę, lecz do tej napływała oczywiście tylko ta sama letnia i rozmaitem robactwem przepełniona woda, która była w bagnie. Chcąc ją uczynić o ile możności przydatną do picia, musieliśmy ją przegotowywać, następnie w naczyniach w ziemi chłodzić i dopiero przez płótno filtrować. Po tylu mozolnych operacyach był to napój zawsze jeszcze obrzydliwy, lecz przynajmniej nieszkodliwy.

W pobliżu wysepki kołysały się nasze czółenka na kanale czterometrowej głębokości, który służył rybakom za gościniec wśród tego morza bagien. Nieopodal natrafiłem na liczne gniazda ś l e p o w r o n ó w i różnych gatunków czapli, a w szczególności c z a p l i n a d o b n e j, m o d r o n o s e j *(Ardea comata)* i w a r z ę c h y *(Platalea leucorodia)*; po za naszem koczowiskiem gnieździła się c z a p l a p u r p u r o w a, po prawej stronie p o ś w i e r k i t r z c i n n e *(Emberiza schoeniclus)* a po lewej tkała swe prześliczne wiszące mieszkania s i k o r k a r e m i z. Także k o b u z i k *(Falco rufipes)*, przestrach wszystkich czapel, gdyż niszczy im gniazda i jaja z nich wybiera, przebywał tu w wielkiej liczbie.

Gdy tarcza słoneczna, zasłoniona gęstemi tumanami mgły, zaczęła się nużać na zachodzie po za oczerety, podążyliśmy za ptactwem na spoczynek do naszego koczowiska. „Herman“, wierny mój kundys niezwykłej wielkości, legł na straży przed namiotem swego pana, a w takim razie nikomu, nawet własnym sługom moim, nie dozwolił on już przystępu. Byłem znużony niesłychanie, a przecież przewracałem się po posłaniu ze słomy i nie mogłem zmróżyć oka, tak ogłuszającym był bezustanny krzyk trzepoczącego się na wodach ptactwa. A zresztą i powonienie musiało się dopiero stopniowo przyzwyczajać do wstrętnych wyziewów ptasiego pomiotu i gnijących resztek zwierzęcych.

Następnego dnia wyruszyłem na polowanie, i już tego dnia ubiłem około 100 sztuk czapel rozmaitego gatunku. Odkryłem nadto pięć nowych kolonij ptasich, na których gnieździły się przeważnie i b i s y k a s z t a n o w a t e.

Zauważyłem, że ślepowrony opuszczały pod wieczór swe gniazda i leciały na żer częścią ku Sawie, częścią ku niezbyt odległej od nas ruinie kołodyawarskiego zamku; czaple nadobne i modronose ciągnęły zaś w kierunku suchszych błót „Laszlo“ pod Harasdynem, gdzie miały swe żerowiska. Na takiem żerowisku przebyłem raz całą noc i nadybałem tam pomiędzy innemi c z a p l e f o r g i. Ponieważ było mi niepodobnem zbliżyć się do nich na odległość strzału, ponatykałem wieczorem wędki z rybkami na przynętę. Przebieglejszemi wszakże odemnie były czaple, gdyż poobjadały ostrożnie rybki, nie tknąwszy wędki, i tylko dwie czaple modronosy ułowiły się na przynętę.

Dnia 8. czerwca, w dzień parny niesłychanie, gdy termometr wskazywał w cieniu + 35° C., gdy tysiące ptaków krzyżowały się w powietrzu — ujrzałem nagle bardzo rzadką w tych okolicach c z a p l ę z ł o t a w ą *(Ardea bubulcus)*. Przerwałem natychmiast moje łowy i całą uwagę poświęciłem temu niezwykłemu gościowi. Stojąc po pas w błocie, obserwowałem go przez cztery godziny bezustannie. Nareszcie woda, wciskająca się do butów, zaczęła mi bardzo dokuczać, szczególniej dla tego, że wraz z nią dostały się do mych nóg także dwie pijawki końskie, które krwi mojej nie żałowały. Opuściłem też moje stanowisko, tem bardziej, że płocha czapla złotawa odleciała także pod wieczór ku swej pieleszy, gdzie ją postanowiłem odszukać.

O 2. godz. po północy wsiadłem z moimi towarzyszami do dwóch czółenek i udałem się do gniazdowiska czapli złotawej. Szczęście mi sprzyjało. Zdołałem bez szmeru zbliżyć się do pieleszy tego egzotycznego ptaka, który tak rzadko w Europie się pojawia, a jeszcze rzadziej staje się zdobyczą przyrodnika, i 6 sztuk tegoż ubiłem.

Czapla złotawa jest krępo zbudowana, upierzenia olśniewająco - białego, na głowie, na piersiach i na grzbiecie wyrastają jej w czasie parzenia się i lęgu rdzawo-brunatne i aż w pomarańczową barwę przechodzące pióra ozdobne, rozpierzchłe i włoskowate, które później wypadają. Nogi jej są czerwonawo-żółte.

Jest to ptak nadzwyczaj miły i dający się łatwo oswajać. Właściwą ojczyzną czapli złotawej jest Egipt, gdzie czas jej lęgu przypada na porę wylewu nilowego. Słoniom i bawołom oddaje ptak ów tę ważną usługę, iż je z różnych wielce im przykrych owadów czyści. Podobny jest w tej mierze do naszych wron i szpaków, które, uwijając się na pastwiskach między bydłem i trzodą, także je z pasożytów iskają.

Kolonia żywych ptaków, które miałem w mem koczowisku, pomnożyła się z końcem lipca o pewną liczbę młodych bocianów, czapel nadobnych i purpurowych, wreszcie b o j o w n i k ó w b a t a l i o n ó w *(Machetes pugnax)*.

Arystokracyę tej różnobarwnej drużyny tworzył b i r k u t, czyli orzeł bielik, oraz dwa młode orły włochate. Pożądliwemi ślepiami spoglądały na nie z po za szczebli dwa młode liski i wilczek.

Co do pożycia mych lotnych towarzyszy, zauważyłem, że bociany nie znosiły się zupełnie z czaplami, tak dalece, że musiałem młode bociany do innej zagrody przesiedlić. Gdym zaś wszystkie czaple razem umieścił, to każdy gatu-

nek trzymał się oddzielnie, nie zapuszczając się w konszachty z czaplami innego gatunku. Tylko czaple nadobne i modronosy zachowywały się jak bliższe krewne i oddawały sobie wzajemnie wizyty.

Żywiłem tę drużynę trzy razy dziennie, wsuwając deszczułki z siekanem mięsem preparowanych ptaków i ryb, a żaden innogatunkowy ptak nie ważył się zbliżyć do deszczułki, która dla niego nie była przeznaczona. Podczas gdy żołny chwytały chciwie owady, spożywały ibisy z gustem pijawki; najpiękniejsze zaś kawałki mięsa podawałem z ręki orłom.

Nadzwyczaj miłemi były oba orły włochate; posiadały też one przywilej chodzenia wolno po całem koczowisku. Gdym preparował ptaki, stawały koło mnie i śledziły każdy ruch ręki, spodziewając się, że im rzucę mięsa. Czasem niecierpliwiły się zbyt długiem czekaniem i ten lub ów wydzierał mi mięso z pod noża. Lecz niestety, nie było mi danem piękne te okazy orłów przy życiu utrzymać. Pewnego dnia — miałem właśnie warzęchę pod nożem — spostrzegłem, że jeden z tych moich ulubieńców na bok upadł i z trudnością podskakiwał. Rzuciłem mu kawałek mięsa; wbrew orlemu zwyczajowi zjadł go, leżąc bokiem, skulony. Gdym go wieczorem do zagrody chciał zapędzić, spostrzegłem ze smutkiem, że nie mógł już chodzić. Drugiego dnia nad ranem już nie żył. Sekcja, którą przedsięwziąłem, wykazała mnóstwo drobnych robaczków w kiszce odchodowej, a pod skrzydłami odkryłem małą zielono-złotą muszkę. Ona to widocznie zniosła jajka, z których się wylęgły gąsieniczki. Po kilku dniach zginął w ten sam sposób i drugi orzeł włochaty, mimo użytych wcześnie środków zaradczych. Uległy tejże samej chorobie i dwie sówki, ptactwo błotne wszakże nie zostało nią dotknięte. Mnie i jednego z moich towarzyszy ukąsiła również owa muszka, i mieliśmy przez kilka dni z zapalnym stanem ranki i z bąblami do czynienia.

W ostatnich dniach mojej studziesięciodniowej kampanii błotnej zrobiłem jeszcze małą wycieczkę do kołodyawarskiej ruiny zamkowej i zapolowałem tam z obcążkami na węże i żmije, przyczem udało mi się schwycić 45 rozmaitych a bardzo pięknych okazów. Z innego względu interesującemi były tu szczątki rzymskich cegieł i monety, które częścią w ruinach, częścią wśród bagna znalazłem. Świadczyły one, że w odludnem miejscu tem istniała niegdyś rzymska osada.

Pośród kolonii czaplej, na wysepce kołodyawarskich bagien, przesiedziałem okrągło 60 dni i nocy, przecierpiawszy bardzo wiele niewygód i przykrości. Cała moja żywność składała się z węgierskiej „tarhonii“ (mączna potrawa), słoniny, chleba, fasoli, kartofli, ryb i ptactwa, za napój zaś służyła mi wódka, herbata i kawa. Wywiozłem jednakże z tej wyprawy około 2000 wypchanych ptaków i szkieletów, coby mi się nie było udało, gdyby organizm mój nie był okazał niezwykłej oporności przeciw febrze, tej stałej chorobie bagnistych okolic i przeciw niezdrowej wodzie moczarów.

St.

KORESPONDENCYE.

Lwów d. 26. lipca.

(Z Tow. myśliwskiego im. św. Huberta.)

Wreszcie odbyło się w dniu 24. lipca doroczne walne zgromadzenie Towarzystwa i zakończyły się przeróżne nieprzyjemne przeprawy i rozprawy — a Towarzystwo, wyszedłszy z tej ogniowej próby, pod egidą nowo wybranego Zarządu, zacznie z pewnością wbrew różnym pokątnym przepowiedniom, a nawet może wbrew życzeniom niektórych panów, pomyślnie się rozwijać. Na zgromadzeniu wyrażono podziękowanie ponownie obranemu prezesowi, p. B. Komorowskiemu, za trudy ponoszone około dobra i powagi Towarzystwa, tudzież przez powstanie wyrażono cześć pamięci śp. Wład. Grzywińskiego, b. członka Towarzystwa, dzielnego, kochanego druha myśliwskiego. Preliminarz na rok przyszły uchwalono w tej samej wysokości, jak roku zeszłego. Skonstatowano pomyślny wzrost zwierzostanu, jak niemniej przychylność władz, a za serdeczną sympatyę i pomoc JW. kuratora i dyrektora, inspektora lasów i pp. leśniczych fundacyi skarbkowskiej złożył prezes Towarzystwa wyrazy szczerej wdzięczności.

W skład zarządu na r. 1888/9. weszli pp.: Bronisław Komorowski jako prezes, Władysław Borzysławski, wiceprezes, Leon Dziubiński sekretarz, Aleksander Bieniedzki skarbnik. Rewirowymi i ich zastępcami na trzy lata zostali wybrani następujący pp.: I. koło: rewirowy Karol Rożanowski, zastępca p. Julian Thilsch; II. koło: rewir. p. Władysław Ostrowski, zast. p. Adolf Brückner; III. koło: rew. Fortunat Stroński, zast. Maryan Pietrzycki; IV. koło: rew. Władysław Godowski, zast. Kornel Dyduszyński; V. koło: rew. p. Władysław Daszyński, zast. p. Maryan Stroński; VII. koło: rew. p. Aleksander Au, zast. p. Dr. Zygmunt Rieger; VIII. koło: rew. p. Władysław Rieger, zast. p. Józef Zwolski; IX. koło: rew. p. Mikołaj Niedźwiecki, zast. p. Józef Kostkiewicz; X. koło: rew. p. Franciszek Kinelski, zast. Juliusz Starkel; XI. koło: rew. p. Seweryn Krogulski, zast. p. Julian Obmiński; XII. koło: rew. p. Maryan Sobolewski, zast. p. Stanisław Pieńczykowski; XIII. koło: rew. p. br. Emil Wallisch, zast. p. Jan Kudewicz; XIV. i XV. koło; rew. p. Tadeusz Czarkowski-Golejewski, zast. Stanisław Piegłowski. Do komisyi rewizyjnej weszli pp.: Krzysztof Koeppel, Józef Winhardt, zast. pp.: Karol Franz i Józef Frankl.

W ten sposób skończyliśmy okres parlamentowania, a zaczniemy epokę najmilszą sercom myśliwych, epokę polowania, tembardziej, że sezon w całej pełni już się rozpoczyna, a dubelty nawiedzają nasze rewiry.

Karty myśliwskie można nabywać u pana Aleksandra Bieniedzkiego (cukiernia, róg ulicy Sykstuskiej i Karola Ludwika).

L. G. Dziubiński.

Lwów w lipcu.

(Myśliwski adwent.)

Kto hulał w zapusty, niech w adwencie pokutuje. I myśliwi mają swój adwent; n. p. pora, w której polować nie godzi się, a nawet nie wolno. Cóż więc robić? Włóczyć się, wziąwszy laskę miast strzelbiny; bo nie darmo w pacierzu powiedziano: „nie wódź nas na pokuszenie“ — ze strzelbę wyszedłszy, nuż napotka człowiek zwierzynę jaką? *nolens volens* — paf! leży — i ot zgrzeszyłeś. Toż wiedząc o tem, z kijem w dłoni częste robią wycieczki w las.

Pewnego dnia, około południa, kroczę ścieżynką, dążąc ku małemu wzgórkowi, na którym dość rzadko porasta młoda buczyna, brzezina i kilka rozłożystych czeremch. Na wzgórku tym, przed laty, mieszkało kilka familii borsuków. Gdy jednak leśniczy mój, czego mu nie broniłem, w połowie wybił, a w połowie wypłoszył te, jak się później przekonałem, nawet pożyteczne zwierzęta, nory owe stały pustkami. Stąpam jak najciszej, aż przez krzak czeremchowy spostrzegam czworo młodych, dość podrosłych lisiąt, jak oprawiały śnieżnej białości kwoczkę, którą im snać godna mama przyniosła. Lisięta do tego stopnia w szarpaniu kury się zaciekły, że nie słyszały, jak z nienacka ku tej dzikiej grupie się zbliżywszy, porwałem jedno lisię w pół i złapałem. Ugryzło mnie wprawdzie dość dotkliwie w rękę, lecz go nie wypuściłem. Reszta w okamgnieniu do nory uciekła. Tego jeszcze dnia, zwoławszy ludzi, rozkopałem norę i zabrałem resztę lisiąt żywcem i mam je u siebie w lamusie. Wnętrze nory pełne było turzycy zajęczej, wraz z kilkoma głowami, pierza z kuropatw i kur. Łatwo z tego wnioskować można, ile taka lisia familia w zwierzostanie szkody poczyni.

Radzimy z leśniczym, jak się pozbyć starej lisicy.

— Spróbujmy tak — mówi tenże. — Przywiążmy na łańcuszku od ściennego zegara jedno lisie w pobliżu jamy, a sami ze strzelbami ukryjmy się w pobliskich krzakach. Może przyjdzie stara do dzieci, to ją zastrzelimy.

— Spróbujmy — odpowiadam.

Poszedł leśniczy do domu i wnet przyniósł długi, mocny łańcuszek od „Szwarcwaldera“. Jeden koniec łańcuszka uwiązaliśmy lisięciu na szyi, drugi zaś do wbitego kołka przywiązawszy, ukryliśmy się na stanowiskach. Uwiązane lisię poczęło się targać, dziwnie jęcząc przytem. Uspokoiło się w końcu, snać zbyt zmęczone. Dzień począł mieć się ku schyłkowi, co, oprócz blasku promieni, objawiało się jeszcze i gwarem, a raczej przelatywaniem ptactwa, które przez skwar dzienny spokojnie w cieniu drzew siedząc, pod wieczór dopiero na żer wyrusza. Naraz, mignęło coś na halawce. Po chwili usłyszałem krótkie, jękliwe nawoływanie. To lisica, pomyślałem, szuka lisiąt, wabiąc. Począłem obserwować lisię. Przez czas dłuższy biernie się zachowując, naraz, usłyszawszy głos matki, odezwało się swym cieniuchnym, krótkim głosikiem. Padł strzał i leśniczy wyniósł za kitę martwą lisicę, w drugiej ręce trzymając nieżywą kuropatwę, którą lisica po strzale z paszczy wypuściła.

Lisięta chowam, żywiąc patrochami z kur, lub ubitemi srokami i wronami. W początkach dwie doby nic jeść nie chciały. W końcu zwyciężył głód, żrą zapalczywie, nocą, jak mi mówił karbownik, goniąc po sąsieku za myszami. Przypuszczam, że czynią to prędzej z swej przyrodzonej natury łażenia po nocy. *J. G.*

Śledziejowice (pow. Wielicki) w lipcu.

(Stan zwierzyny.)

Stan sarn doskonały, zajęcy również, kuropatw dobry, ponieważ czas lęgu był nadzwyczaj sprzyjający. Po dwu ostatnich latach bardzo ciężkich jest nadzieja, że stan kuropatw i w tym roku znacznie się podniesie; w tym celu zamierzamy w tym roku na kuropatwy bardzo mało polować. Stan przepiórek, zdaje się, że będzie średni. Chruścieli bardzo mało; zauważyć należy, iż od kilku lat ubytek przepiórek i chruścieli jest rażąco widoczny, a tego roku z powodu posuchy ptactwa wodnego i błotnego prawie nie ma wcale. Szkodników tak wytępiono, iż lis, jastrząb, wrona, sroka, należą do rzadkości. Na kłusownictwo uskarżać się nie można, zwłaszcza wobec energicznej opieki, jaką tutejszy starosta łowiectwo w naszym powiecie otacza.

Dr. Stanisław Larysz-Niedzielski.

KRONIKA.

Ustawa łowiecka. Jednem z ważniejszych sprawozdań, które Wydział krajowy dla najbliższego sejmu wygotował, jest sprawozdanie o potrzebie jednolitej ustawy łowieckiej.

Jak wiadomo, Wydział krajowy na polecenie Sejmu wypracował w r. 1887. projekt do ustawy łowieckiej. Początkowo ministerstwo rolnictwa nie uważało ani za rzecz konieczną, ani za stósowną reformy, obejmującej całe ustawodawstwo łowieckie, jaka zamierzoną została w projekcie Wydziału krajowego. Ministerstwo zamierzało jedynie wnosić do sejmów krajowych przedłożenia o zmianę niektórych tylko postanowień prawnych co do wykonywania prawa polowania.

Dopiero po zamknięciu jesiennej sesyi sejmowej z r. 1888. nadeszła do Wydziału krajowego wiadomość, że pan minister rolnictwa gotów jest nie stawiać obecnie przeszkód dążeniom do reformy ustawodawstwa łowieckiego za pomocą nowej jednolitej ustawy łowieckiej, lecz tylko tam, gdzie dążenia takie stanowczo się objawią. Żądał zatem, ażeby w tym względzie oświadczył się Sejm, czy skłonnym jest do uchwalania pojedynczych nowel w kwestyach ustawodawstwa łowieckiego, czyli też uważa za stósowne wydanie jednolitej ustawy łowieckiej. Na ten ostatni wypadek okazał się rząd gotowym wziąć udział w opracowaniu takiego projektu ustawy i zawiązać w tej mierze rokowania z Wydziałem krajowym.

Owóż Wydział krajowy, przedkładając powyższe oświadczenie rządowe do uznania Sejmowi, wnosi, aby Sejm wyraził rządowi zapatrywanie, iż uznaje za konieczną potrzebę wydanie dla Galicyi jednolitej ustawy o łowiectwie, obejmującej całość przedmiotu; zarazem, aby Sejm polecił Wydziałowi krajowemu, by w porozumieniu z rządem i z uwzględnieniem przygotowanego już projektu, na najbliższą sesję sejmową przedłożył nowy projekt ustawy łowieckiej.

Cesarskie łowy. W Ebensee odbyło się trzecie polowanie dworskie. Rozpoczęło się ono d. 3. lipca popołudniu wzięciem małego miotu na Winnersbergu, gdzie cesarz ubił pięknego dziesiątaka. Następnego dnia polowano na Grünbergu i tu padł wspaniały szesnastak od strzału monarchy. Oprócz tego ubił cesarz dziesiątaka. Około 7. godziny skończyły się łowy i powrócono do Ischlu wśród ulewnego deszczu. W sobotę d. 6. lipca polowano na Prombergu, gdzie padł jeden jeleń i kozica. Cały kierdel kozic wymknął się w skutek niekorzystnego dla myśliwych wiatru. W łowach brali udział arcyksiążę Karol Salwator i syn jego Albrecht, hr. Latour, hr. Paar, major Saar i pułkownik Resch. Cesarz czuł się bardzo rzeźwym i zadowolonym.

Dnia 26. lipca wybrał się cesarz nad ranem do Wambachu. Towarzyszyli monarsze jen. adjut. hr. Paar, min. hr. Falkenhayn i fmp. La-

tour. Już o 7. godz. był cesarz z powrotem w Ischlu. Polowanie powiodło się wybornie, padło bowiem 18 jeleni i kozłów.

W połowie września zamierza monarcha polować w kniejach Wyszegradzkich na Węgrzech, gdzie przepowiadają bardzo dobry stan jeleni i sarn, oraz dzików i jarząbków.

Program myśliwskiej wystawy w Wiedniu w r. 1890. jest następujący: Wystawa odbędzie się wraz z rolniczo-leśną wystawą w Praterze i trwać będzie od 15. maja do 15. października. Ostateczny skład komitetu jest taki, że oprócz osób, wymienionych w nr. 7. „Łowca", powołani jeszcze zostali do komitetu hr. Roman Potocki, prezes gal. Tow. łowieckiego, hr. Artur Potocki i hr. Stefan Szembek, wiceprezes gal. Tow. łowieckiego, prof. dr. L. Barth i baron H. Lazarini. Nie wzięli zaś udziału w komitecie hr. Franciszek Lamberg i hr. Leon Wurmbrand.

Wystawa dzielić się będzie na następujące grupy: I. Trofea myśliwskie, pochodzące z Austro-Węgier, a mianowicie rogi, skóry, szkielety, czaszki, rapcie, szpony, ogony i w ogóle ozdoby z piór i sierci zwierząt łownych, oraz całe zwierzęta wypchane. II. Nowożytna broń myśliwska, oraz przybory uzbrojenia myśliwca i psów jego. III. Historyczny rozwój myśliwstwa, a mianowicie broń i narzędzia myśliwskie z dawniejszych czasów. IV. Przybory łowieckie dawnych i nowszych czasów, a mianowicie: żelaza, paście, sieci, samotrzaski, klatki itp. tak w naturze jakoteż rysunki i modele. V. Urządzenia zwierzyńców i bażantarni, a w szczególności budek myśliwskich, przyborów do podawania karmy, lizawek, ogrodzeń, przyrządów do karmienia i wylęgania, do transportu zwierząt, plany zwierzyńców, wszystko już to w naturze, już to w rysunkach i modelach. VI. Literatura i czasopisma łowieckie, obrazy, albumy, podręczniki naukowe, odznaki, medale itp. VII. Daty statystyczne o Towarzystwach ochrony łowieckiej, o terytoryach myśliwskich, zwierzyńcach, cenach i konsumcyi zwierzyny, o czynszach za polowanie, o nagrodach za szkody i t. d. w tabelach, rysunkach, mapach i planach.

Szczegółowe programy i arkusze zgłoszenia rozsyła sekretaryat wystawy w Wiedniu I. Herrengasse 13. Komitet reprezentują na zewnątrz hr. Hugo Abensperg-Traun jako prezes i Rudolf Markowsky jako sekretarz.

Próbne popisy w szukaniu i wystawianiu zwierzyny przez wyżły urządzają: niższo-austryackie Stowarzyszenie opieki łowieckiej d. 22. i 23., a także stowarzyszenie morawskie w d. 25., 26. i 27. sierpnia b. r. Do popisów dopuszczone będą już to wyżły niemieckie krótko-, długo- i szorstko-włose, już to pointery i settery angielskie. Stowarzyszenie morawskie poświęca także osobny dzień na popis dla jamników, a terenem popisów jest rewir myśliwski Eisgrub, należący do księcia Jana Liechtensteina. Popis psów Stowarzyszenia niższo-austryackiego będzie miał miejsce w Laxenburgu na terenie, wyznaczonym na ten cel przez nadwornego łowczego. Jury składa się z najwybitniejszych myśliwych i znawców myśliwstwa i hodowli psów, wkładki wynoszą od 1 do 5 zł., a nagrody honorowe i pieniężne od 3 do 10 dukatów. Będą również psy po odbytych popisach sprzedawane.

Wilki. W okolicy Hliboki na Bukowinie, ukazała się w ubiegłym miesiącu znaczna ilość wilków, które rzucają się na bydło i czynią niemałe szkody. Cztery woły padły ofiarą drapieżników, a trzy silniejsze umknęły mocno pokaleczone.

Kangury w Europie. Baron Böselager, właściciel dóbr w prowincyi nadreńskiej, urządził u siebie, w wolnem miejscu w lesie, kolonię kangurów australskich i ma nadzieję rozmnożyć je jako zwierzęta łowne. Z początkiem marca b. r. zauważył właściciel tej szczególnej kolonii, że samice są kotne.

O pasterzu różowym nic u nas nie słychać. Zdaje się, że tym razem skończył on swe odwiedziny głównie na Bułgaryi, gdzie stał się powodem przesądnego strachu, gdyż przypomniano sobie, że przed dwunastu laty, tj. bezpośrednio przed rosyjsko-turecką wojną widziano pasterza na polach Pirotu, a więc przyjęto go i tego lata jako zapowiedź wojny. Tymczasem pasterz znalazł teraz obfitą żywność w szarańczy, która równocześnie pola bułgarskie nawiedziła, może być nawet, że w pogoni za szarańczą przybył, począł się gnieździć i jak się zdaje, wywiedzie na miejscu młode. Całe stado tego ptaka w Bułgaryi liczą na 10.000 sztuk. Oprócz w Bułgaryi, spostrzeżono d. 3. czerwca stado liczące około 100 sztuk w Kroacyi, przyczem 5 sztuk ubito. Pasterz różowy *(Pastor roseus)* jest wielkości szpaka, czarny, czubaty, z połyskiem fioletowym, na grzbiecie zaś i brzuchu pięknie różowy. Tępiąc szarańczę, należy do najpożyteczniejszych ptaków. Apelujemy jeszcze raz do naszych czytelników, aby nam donieśli, czy go gdzie w kraju nie widziano.

O pustynniku, którego u nas tego roku wcale już nie widziano, donosi *Nordböhm. Vogel u. Gefügel Ztg.* co następuje: Około Friedburga w powiecie Braunau, ubito z początkiem kwietnia 30 sztuk pustynników; w powiecie Wels widziano z początkiem kwietnia 7 sztuk tych ptaków pod St. Georgen; w powiecie Vöklabruck ubito 2 sztuki pod Altnang. Zresztą i w powiecie Linckim miano widzieć na wiosnę pustynniki, zrazu pojedynczo, a późniaj stadkami.

Prawdopodobnie musiał to być świeży, przypadkowy przelot, nie zaś ptaki, które na miejscu przezimowały.

O pojawianiu się pustynników w r. 1889. w zimie, takich, które widocznie się osiedliły, otrzymał znany ornitolog, Wiktor Tschusi, następujące wiadomości: W Czechach pod Beckenhain widziano d. 2. stycznia jednego, w Dalmacyi pod Zadarem ubito d. 17. stycznia jednego samca, w Istryi około Pola widziano z początkiem marca 5 do 6 sztuk, w Dolnej Austryi niedaleko Korneuburga widziano d. 22. stycznia 2 sztuki, nareszcie w Węgrzech w komitacie Zemplińskim ubito d. 2. lutego 1 samca.

„Tir aux pigeons". Warszawskie Towarzystwo łowieckie urządziło w ubiegłym miesiącu dla członków i amatorów sportowe strzelanie do gołębi *(tir aux pigeons)* na polu Mokotowskiem. Meta od startu strzelniczego wynosiła od 26 do 30 metrów w kierunku pięciu rozkładanych klatek, od których sznury prowadziły promieniami koła do pawilonu. Za pociągnięciem któregokolwiek sznura otwierała się dana klatka, a z niej wychodził gołąb i w miarę wzlotu myśliwy dawał do niego jeden lub dwa strzały. Według regulaminu, strzelającemu wolno mierzyć dopiero wtedy, gdy usłyszy wyraz „gotowe" i gdy nastąpi sygnał pociągnięcia sznura. Strzał uważa się za trafny, gdy gołąb, czy to zabity, czy też raniony, upadnie przed linią półkola, ograniczonego czerwonemi chorągiewkami. Spadnięcie gołębia, chociaż zabitego, za linią, uważane jest za strzał chybiony. Wszelkie ostrożności z bronią palną skrupulatnie były zachowane, a gołębie, które po opuszczeniu klatki nie chciały się wzbić w górę, płoszono piłkami. Kilka gołębi, pomimo tych straszeń, ani myślało odlatywać pod strzał i te naturalnie ocalały. Po strzałach próbnych *(pigeons d'essaye)* utworzyła się pierwsza pula z wkładkami po 2 i 3 rs., oraz dwustronnemi zakładami. W pierwszej puli zwycięzcą został kapitan Grekow. Dalsze pule wygrał pułkownik Małychin, jeden z najwprawniejszych strzelców. W ostatnich dwóch, równą liczbę strzałów mieli: hr. Uwarów i znów pułkownik Małychin. Obaj zapaśnicy rozgrywali się między sobą na najdłuższej, 30-metrowej mecie dopóty, dopóki starczyło gołębi, a gdy tych zabrakło, podzielili się obu wygranemi pulami. Zabite gołębie kupowano po 10 kop. na miejscu, ogółem zużyto 200 sztuk, z których nieznaczny procent ocalał.

Połów jaskółek. Dziwaczna moda zimowa, nakazująca stroić kapelusze słabszej połowy rodzaju ludzkiego całemi gniazdami lub przynajmniej pojedynczemi sztukami jaskółek, o ile się zdaje, utrzyma się i nadal. Takby przynajmniej sądzić należało z obfitego połowu, jaki ubiegłej wiosny urządzono we wszystkich nadbrzeżnych okolicach południowej Francyi. Wracając do swych siedzib letnich, ptaszęta, zmęczone podróżą przez morze Śródziemne, padają, wyczerpane z sił, całemi stadami na wybrzeża i długo zazwyczaj przed dalszą podróżą odpoczywają. Łowiono je właśnie podczas tego odpoczynku w sieci, na lep i... na druty elektryczne. Ten ostatni połów odbywano w ten sposób, iż na słupach lub nad skałami rozpinano żelazne, nieizolowane druty, a gdy jaskółki drut taki obsiadły, zaczajony ptasznik łączył wówczas drut z ustawioną bateryą elektryczną i biedne ptaszęta spadały na ziemię, jakby rażone piorunem. Ofiary kaprysu mody, złowione tegorocznej wiosny, liczyć można na tysiące. Zauważano też, że w niektórych okolicach Francyi wcale nie widziano tegorocznej wiosny tej pożytecznej ptaszyny, która łowi dziennie trzy razy tyle szkodliwych owadów, ile ciało jej waży. Łatwo wobec tego zrozumieć, jakie szkody rolnictwu wyrządza się przez tępienie ślicznej ptaszyny. Jedno z poważnych pism francuskich, z którego tę notatkę czerpiemy, powiada też w zakończeniu: „Jeśli niedorzeczna ta moda miałaby istotnie potrwać jeszcze lat parę i ogarnąć wszystkie miasta za przykładem Paryża, w takim razie jaskółkę będziemy mogli niedługo oglądać jedynie w gabinetabh ornitologicznych."

Jaskółki w służbie pocztowej. Francuski minister wojny zwrócił się do komendanta z Lilles, ażeby mu tenże zdał sprawozdanie co do prób, jakie robiono w Roubaix z jaskółkami w celu zużytkowania ich do

służby pocztowej podczas wojny. Za cztery tygodnie mają urządzić próbę jeneralną, a jeżeli ta wypadnie dobrze, wtedy urządzą pierwszą stację pocztową jaskółek na Mont Valerien.

Przygody z orłami. Pismo „Diana“ opowiada o następujących wypadkach z orłami:

Pewien myśliwy alpejski około Innertkirchen nastawił żelazka na lisy. Zamiast lisa złapał się wszakże orzeł. Chociaż paść należycie była przywiązaną, udało się orlisku wyszarpać ją, i z paścią u nogi uleciał na grzbiet najbliższej góry, ale w krótce omdlał z bolu i wysiłku i leżał jak nieżywy. W takim stanie zastał go chłop przechodzący, a mniemając, że ma z nieżywym ptakiem do czynienia, wziął go razem z paścią na plecy. Orzeł tymczasem przyszedł do siebie i tak silnie wpił się szponami w szyję i plecy chłopa, że tenże z krzykiem przerażenia, jak obłąkaniec, wpadł do wsi i z wielką biedą z uścisku orlego został wyswobodzony.

Drugi wypadek jest taki:

Na jednej z połonin alpejskich leżał baran wśród skwaru południowego, schowany częściowo pod urwiskiem skalnem, około którego rosła kosodrzewina. Zoczył go potężny orzeł, a usiadłszy na urwisku, chwycił się jedną nogą kosodrzewiny, podczas gdy szpony drugiej zatopił w kudłach barana. Przerażony tryk zerwał się jak błyskawica i tem się obronił, rozerwał bowiem orła, który nie zdołał tak szybko zmienić swej pozycyi. Gdy pastuchy przybiegli, leżał już orzeł bez życia, niemal na połowę rozdarty.

Mój skowronek. Znają mnie jako przyrodnika i zbieracza, bywam też formalnie oblężonym przez chłopaków szkolnych, którzy mi znoszą najrozmaitsze osobliwości. Ubiegłego lata przynieśli mi między innemi bataliona bojownika, krasnowronkę i mewę, wszystkie z gniazd wyjęte. Odżywiłem te pisklęta i kosztowało mnie to wiele pracy — a odpłaciły mi to najczarniejszą niewdzięcznością, skoro tylko latać się nauczyły — uciekły.

Dostałem wszakże i skowronka. Przyniósł mi go chłopak, który go znalazł ze złamaną nogą i skrzydłem. Nastąpiła najprzód kuracya: obandażowałem złamane członki, a że ptaszę było jeszcze tak małe, iż samo pożywienia przyjmować nie mogło, żywiłem je piórkiem mozolnie przez dwa tygodnie.

Skowronek okazał się wdzięcznym za łożone około niego starania. Był tak obłaskawionym, że chodził wszędzie wolno, a najchętniej spoczywał około nóg moich. Z dziesięć razy na dzień odszukiwał mnie, gdziem siedział, a wtedy kładł głowę na moim bucie i tak z lubością używał odpoczynku. Gdym spostrzegł, że ptaszek mój może się już sam na bożym świecie wyżywić, wziąłem go i zaniosłem do żyta, w oddaleniu około 500 kroków od mego domu. Było mi przykro pożegnać się z miłym skowronkiem — lecz czyniłem to dla jego dobra. Któż jednak opisze moje zdziwienie, skoro pod wieczór, w 5 do 6 godzin po czułem pożegnaniu się, usłyszałem pod mojem oknem dobrze mi znane świergotanie. Wybiegłem na dwór, a skowronek przypadł de nóg moich, piszcząc żałośnie, jakgdyby mi czynił wyrzuty. Przywiązania tego nie mogłem inaczej odpłacić, jak tylko wziąwszy skowronka napowrót do pokoju i na dawny wikt. Ptaszek był zmęczony i wygłodzony; widocznie nie mógł sobie sam dać na wolności rady, postanowiłem przeto już się z nim nie rozłączać. A powrót do mnie musiał mu być bardzo uciążliwym, gdyż kulejąc i nie zdolny w skutek złamanego skrzydełka do pełnego lotu, nie mógł się raźno poruszać.

Odtąd żyliśmy razem. Gdy skowronek wymknął się nawet czasami, to nie bawił długo na świecie, zaraz powracał do swej przybranej ojczyzny. Lecz sielanka skończyła się niestety tak, jak się podobne sielanki kończyć zwykły. Pewnego dnia znalazłem mego ptaszka nieżywego w przedpokoju. Przyzwyczajonego do moich nóg i nieostrożnego nastąpił ktoś na głowę i zabił niechcący wdzięczną ptaszynę.

M. S.

Lot niektórych ptaków i owadów, a właściwie ilość uderzeń ich skrzydeł podczas lotu, podaje pewien uczony francuski, który temu przedmiotowi poświęcił długie lata badań, jak następuje: Ilość uderzeń skrzydeł w ciągu jednej sekundy wynosi u zwyczajnej muchy 320, u trzmiela 240, pszczoły 190, osy 110, ważki 28, u zwykłego białego motyla „kapustnika“ 9, u wróbla 13, dzikiej kaczki 9, gołębia domowego 8, sowy 5 i t. p. Przy doświadczeniach z owadami uczony ten posługiwał się przyrządem własnego pomysłu. Trzymał on owada obcążkami za kałdun w ten sposób, aby jedno ze skrzydełek dotykało okopconej powierzchni obracającego się ciągle cylindra stalowego, na którym pozostawał ślad każdego poruszenia skrzydełka. Dla ptaków urządził odpowiednią salę, w której wypuszczony ptak musiał przebiegać 16 metrów w linii prostej lub zataczać koło o sześciu do siedmiu metrach średnicy.

Wyborną karmą dla ptasząt, chowanych w niewoli, są t. zw. „jednoniówki“, czyli jętki długoogonne *(Palingenia longicaudata)*, pojawiające się tu i owdzie w sierpniu i wrześniu w nieprzeliczonych rojach nad wodami. Nad dolną Cisą i Dunajem występuje jętka w takiej liczbie, że ją zbierają na pognój całemi wozami. W Czechach, na Łabie, chwytają ją w ten sposób, że wyjeżdżają na wodę łodziami, które są płachtami ponakrywane. Człowiek, stojący w łodzi, trzyma w ręku płonące łuczywo; do płomienia zlatują się chmurami jętki i opaliwszy skrzydełka, spadają na płachtę. Zebrane w ten sposób i ostrożnie wysuszone jętki są już w Czechach stałym artykułem handlu między ptasznikami.

Chcąc ich użyć na karmę dla młodych ptaków, należy je wprzód gorącą wodą sparzyć i zmiękczyć. Starszym ptakom lepiej wszakże dawać suche jętki. Jako pokarm dla trudnych do utrzymania ptaków owadożerczych stoją one niemal na równi z poczwarkami mrówczemi, których nie wszędzie i nie o każdej porze dostanie.

Kot i kurczę. Węgierskie pisma podały następującą, wielce nieprawdopodobną historyę, zaręczając za jej prawdziwość. Na folwarku w Ipolysag wylęgły się kurczęta. Jedno z nich nie znalazło w żadnej kurze opiekunki. Widocznie jajo musiało być podrzucone i kury czuły wstręt do przybysza. Biedne kurczątko łaziło tedy po podwórzu samotne i opuszczone. Zauważyła to kocica, która niedawno się okociła, przybliżyła się do kurczęcia i ująwszy je delikatnie za skrzydełko, zaniosła do swego legowiska. Tam ułożyła je i chciała dać mu ssać... Widząc przecież, że wychowanek nie czuje ni ochoty, ni zdolności do pożywienia tego rodzaju, poczęła mu znosić znalezione na podwórzu ziarna. Kurczę wyrosło przy tej dziwnej opiekunce, nabrało życia i ustawicznie trzyma się kocicy, która nie przestaje otaczać czułą i troskliwą opieką przybrane dziecko. Również i kocięta po przejrzeniu zawarły z przybyszem przyjacielski związek.

Oswojona mysz. Dzienniki londyńskie opowiadają o niejakim Wiliamie Shrimpton, który za jakieś przestępstwo czas dłuższy odsiadując karę w jednem z więzień londyńskich, oswoił mysz domową tak, że jak pies chodziła za nim, na zawołanie przybiegała, jadła z rąk i towarzyszyła mu w ogrodzie więziennym na spacerach. Oswojona mysz, jakkolwiek stanowiła rozrywkę przeciwną przepisom, zjednała sobie przecież względy dyrektora więzienia i nie rozdzielano jej z panem. Zwierzątko obcięty miało ogon, operacya ta bowiem, wedle Shrimptona, ułatwia podobno niezmiernie oswajanie myszy.

Lew w hotelu. Dziwny przypadek wydarzył się przed niewielu dniami pewnemu Anglikowi, p. Osborne, mieszkającemu w jednym z hoteli angielskich. Pan Osborne pakował właśnie rzeczy swe, chcąc z Londynu wyjechać, gdy wtem do pokoju jego wskoczył przez okno groźny lew afrykański. P. Osborne pochwycił krzesło, aby się bronić, gdy w tejże samej chwili zjawił się dozorca zwierzęcia z kilkoma ludźmi. Dozorca, zrobiwszy uwagę p. Osborne, aby nie ważył się ruszać lwa, zarzucił, wpadłszy do pokoju, siatkę na głowę zwierzęcia i związał go z pomocą swych ludzi. Lew ten uciekł z menażeryi, która tuż przy hotelu dawała przedstawienia.

Ciekawy fakt inteligencyi zwierzęcia, występującego w obronie człowieka, przytaczają dzienniki rosyjskie. W pobliżu Achalcychu, włościanin Akop pasł bydło. Akop położył się na brzegu lasu, gdy nagle z gęstwiny wybiegł niedźwiedź i rzucił się na włościanina. Na rozpaczliwy krzyk Akopa przybył z pasącego się stada byk „Ajtun“ i napadł na niedźwiedzia rogami. Niedźwiedź, położywszy Akopa na ziemi pod sobą, przedniemi łapami odpędzał byka, który nie zdołałby uratować pastucha, gdyby znów na pomoc nie zbiegło się całe stado. Koniec końców niedźwiedź uciekł i Akop został uratowany.

Psia miłość i do pana i do własnych młodych przechodzi nieraz zwyczajne granice; do bardzo niezwykłych należy wszakże następujący wypadek, opowiedziany przez jedno z fachowych pism niemieckich:

Rządca ekonomiczny p. H. miał wyżlicę, która wprawdzie nie była wzorem psów myśliwskich, ale celowała czujnością i przywiązaniem do

swego pana. Pan H. wyjechał pewnego ranka konno, mając się zająć sprzedażą drzewa opałowego o 2 mile od swego domu. W połowie drogi dopiero spostrzegł, że „Diana", pomimo, że ją zamknięto, zdołała się wymknąć i biegnie za koniem. Nadarmo napędzał ją rządca — suka nie chciała się wrócić — musiał więc zgodzić się, żeby mu towarzyszyła. Przybywszy do leśniczówki, a bojąc się, ażeby „Diana", zostawszy bez nadzoru, nie chciała na własną rękę zapolować, prosił, ażeby ją w stajni wraz z koniem zamknięto. Biedna suka była zresztą zmęczona, gdyż groziło jej rychłe macierzyństwo.

Po załatwieniu interesu, zabierał się pan rządca do domu i prosił o przyprowadzenie konia i suki Konia dostawiono, ale co do suki, raportował fornal, że zapchała się w najciemniejszy kąt stajni, nie chce wyjść, a gdy się do niej zbliżyć, warczy. Zdziwiony p. H. udał się sam do stajni, ażeby znarowioną „Dianę" nauczyć rejtpajczem grzeczności, lecz cóż zastał? Oto „Diana" leżała w kącie, jako szczęśliwa matka sześciorga pięknych szczeniąt. Trudno było zabrać ją na koń w tym stanie; p. H. poprosił zatem, ażeby „Dianie" dano jeść i przyrzekł nazajutrz przysłać parobka z koszem po sukę i jej konsolacyę.

Nazajutrz wydano istotnie odpowiednią dyspozycyę, lecz nim parobek się wybrał, doniesiono panu rządcy, że „Diana" leży w swej budzie, skąd i skomlenie szczeniąt się wydobywa. Zdziwiony p. H. poszedł sam zrobić rewizję, i znalazł rzeczywiście sukę na swojem miejscu, a obok niej żwawo ssących czworo szczeniąt. Parobek, wybrawszy się tymczasem do leśniczówki, znalazł tam tylko dwoje szczeniąt, a gdy je włożył do kosza i niósł do domu, wybiegła naprzeciw niego „Diana" w olbrzymich susach na połowę drogi, i obwąchawszy kosz, towarzyszyła mu, skomląc, do domu, gdzie mu szczenięta wypakować pomagała, wyjmując je pyskiem z kosza. Leśniczy nie mógł wyjść z podziwu, jakim sposobem suka z czworgiem szczeniąt w ciągu nocy z zamkniętej stajni się wydobyła — faktem jest wszakże, iż przeniosła je w ciągu nocy o dwie mile, a przypuszczając, że co najwyżej po dwoje szczeniąt w pysk naraz brała, odbyła w ciągu jednej nocy sześć mil drogi, ażeby się tylko z młodemi znaleźć na własnym barłogu i obok swego pana.

Zarybianie pustek. W okolicach Arnswalde rząd pruski kosztem 8.000 marek obrócił obszar gruntu, obejmujący 2 i pół hektara przestrzeni, a dotychczas na nic nie przydatny, na stawy, które z czasem bardzo wielkie rokują dochody. W ciągu lata 1887. wpuszczono do tego stawu 3.900 sztuk zarybku karpiowego, a już 2. grudnia tego samego roku wyjęto z niego 2.200 sztuk, ważących po pół funta. Te wpuszczono do innego stawu i w krótkim czasie doszły do wagi po 3 i pół funta. Próba ta, nad wszelkie spodziewanie pomyślna, stała się podobno bodźcem, że całą tamtejszą nizinę, która żadnego prawie nie przynosi dochodu i tylko zarosła jest krzakami olszyny, sitowiem, trzciną, a w najlepszych miejscach pokryta jest lichą trawą, dającą siano nadzwyczaj kwaśne, postanowiono zamienić na rybne stawy.

Rekiny w Adryatyku. Przekopanie międzymorza Sueskiego wywołało następstwa, których Lesseps zapewne nie przewidywał, a mianowicie wprowadzenie rekinów do morza Śródziemnego. I dawniej donoszono wprawdzie o obecności na tych wodach rekina, który okrążył Afrykę i przebył cieśninę Gibraltarską, zdarzało się to jednak co cztery lub pięć lat zaledwie; obecnie zaś ilość tych potworów morskich wzrosła bardzo znacznie, zwłaszcza w Adryatyku, dokąd przybywa wiele okrętów, przechodzących przez kanał Sueski. W zatoce Fiumańskiej schwytano niedawno wielką samicę, która się zaplątała w sieci rybackie, w sierpniu r. z. ujęto 2 młode rekiny w pobliżu zakładów kąpielowych. Jeden z nich, jakkolwiek bardzo młody, miał już 2·15 metra długości, a szczęki jego, opatrzone zębami od 2 do 6 cm., stanowiły już groźne dla kąpiących się niebezpieczeństwo.

Śpiewające ryby, nie są tylko, jak się dziś pokazuje, wymysłem naszych żydków szynkarzy, którzy komponowali godła „pod śpiewającym rybem", ale istnieją rzeczywiście w słonych i słodkich wodach południowej półkuli. Jeszcze w lecie r. 1852. donosił o tem naturalista Girard w Waszyngtonie. Powoływał się w tej mierze na porucznika okrętowego Gillisa, który, odbywając z polecenia rządu Stanów Zjednoczonych wyprawę naukową na południe, zauważył podmorskie dźwięki, które zwracały na siebie także uwagę wszystkich mieszkańców Kaldery w Chili. Obecnie wiedzą już uczeni, że dźwięki te pochodzą od ryb, które się w znacznej ilości w spokojnej zatoce kalderańskiej gromadzą, i wydają właściwie tylko jeden ton, ale tak co do siły modulowany, że czyni łagodne, harmonijne wrażenie. Przypomina on nieco dźwięk arfy eolskiej, a płynie zawsze w jednym kierunku, tylko wieczorem lub w nocy, nigdy zaś za dnia. Dr. Girard otrzymywał tego rodzaju śpiewające ryby, a jednę z nich nazwano *Alosa musica.*

Inny obserwator, inżynier Onffroy de Thoron, słyszał tę samą muzykę w ekwatoryalnej zatoce Paillon, otoczonej lasami dziewiczemi. Już w Kampanie opowiadano mu o śpiewających rybach i w istocie śpiewały one w pewnych godzinach wieczorami i na pewnych miejscach, które mu z góry oznaczono. Szczególniej uderzyło go to w powrocie z Paillon do Kampany, gdy nagle, po zachodzie słońca, usłyszał przy wybrzeżach szczególny, niezwykle silny i długo przeciągany ton. Zdawało mu się zrazu, że to jakiś wielki komar czy trzmiel, lecz go objaśniono, że to rodzaj ryby śpiewającej. Chwilami był ów ton tak silny, jak gdyby się z piszczałki organowej wydobywał.

Zjawisko to powtarza się. W wyższym jeszcze stopniu produkują się śpiewające ryby w rzece Matajé. Rzeka ta wylewa się dwoma odnogami do oceanu Spokojnego, a trzecią odnogą w zatokę Paillon. Tony te słychać także w rzece Molino, która do Matajé uchodzi. Ryby owe śpiewają czasem całemi godzinami, nie troszcząc się, czy im ludzie w koncercie tym przeszkadzają, czy nie. Są one białe z niebieskiemi plamkami na grzbiecie, niewielkie i należą do gatunku „Clupea" *(Clupea sagax?)*, do którego i śledzia zaliczają. Trzymają się jak śledzie olbrzymiemi gromadami wybrzeży i zatok i podchodzą często z oceanu do rzek.

Miecznik. W morzu Śródziemnem i Atlantyckiem żyje ryba, mająca górną szczękę przedłużoną w długi wyrostek włóczniowaty, zwana miecznikiem lub włócznikiem *(Xiphias gladius).* Włócznią tą przebija miecznik inne ryby, służące mu za pożywienie. Nieraz i okręty doznają od nich uszkodzenia, a kawały ścian okrętów, noszące w sobie włócznię tej ryby, znajdują się w niektórych muzeach. Gdy w roku 1725. zabrano się do naprawy angielskiego statku wojennego, znaleziono w bocznej ścianie okrętu złamaną włócznię miecznika, która przebiła zewnętrzne obicie, mające 1 cal grubości i dwa dyle, mające 8 cm. grubości. W innym znowu okręcie znaleziono złamaną broń miecznika, która przebiła nietylko zewnętrzne obicie okrętu i dyl na 8 cm. gruby, lecz nadto 30 cm. gruby bal i dno beczki z tranem. Uderzenie miecznika o okręt czyni takie wrażenie, jakgdyby okręt uderzył o skałę, a niebezpieczeństwo byłoby takie same, gdyby ryba mogła włócznię swą wyjąć, co jest niepodobieństwem. Znane są jednakowoż przypadki zatonięcia łodzi rybackich w skutek przedziurawienia ściany przez mieczniki. Niedawno znowu uderzył miecznik w ścianę statku norwegskiego. Włócznia ryby przeszyła metalowe obicie statku, bal świerkowy na $6^2/_3$ cala gruby i ścianę okrętową 11-calową.

Wojna z chrząszczami. W Prusiech pojawiły się tego roku w niektórych okolicach w znaczniejszej ilości chrząszcze majowe. Lecz tam nie dają pardonu temu szkodnikowi. Wypowiedziano mu wojnę i to na takie rozmiary, o jakich u nas nie mają wyobrażenia. W lasach tuchelskich, liczących 16 rewirów, zebrano w każdym rewirze po 30 tysięcy litrów chrząszczy, czyli razem 480.000 litrów. Gdy zaś w litrze mieści się 450 sztuk, przeto cała ilość chrząszczy schwytanych wynosiła 216 milionów! Koszta zbierania tej masy szkodników wynosiły poważną sumę 70.000 marek, a pomimo tego wyłożono je ze względu na klęskę, jaką mogło sprowadzić wylęgnięcie się pędraków z tej ilości chrząszczy. Licząc połowę samic, a z każdej samicy co najmniej 40 gąsienic, dochodzimy do zastraszającej liczby 4 i pół miliardów pędraków. Byłyby one pustoszyły korzonki młodej sośniny, którą w Tuchlu kultywują, a po czterech latach byłyby wydały również niezmierną armię chrząszczy na pożarcie liści.

Wąż boa stał się niedawno temu powodem wielkiego przestrachu w menażeryi Kludskiego, w Budziejowicach. Uczniowie szkoły realnej przypatrywali się, jak karmiono węże, bywające w menażeryach aż nadto potulnemi i ospałemi. Dusicielowi boa dał dozorca gołębia, lecz ten, zamiast zwyczajnej swej potrawy, chwycił za nogę najbliższego z uczniów szkoły realnej, nazwiskiem Riha. Powstało zamięszanie, uczniowie rozbiegli się, a biedny Riha sam szamotał się z dusicielem, dopóki się z paszczy jego nie uwolnił. Odniósł przytem dość bolesne skaleczenie, około trzydzieści ukłuć zębów dusiciela, które wymagały pomocy lekarskiej.

Z dykteryjek myśliwskich. — Jeszcze miareczkę, panie Tatarkiewicz...

— Wedle rozkazu jaśnie pana! — odrzekł Tatarkiewicz, wyprężył się jak struna i połknął spory kubek starki.

Ile tam takich kubków przeszło przez gardło Tatarkiewicza, któżby zliczył! Nie wiedział o tem nawet potężny nos czerwony, który na mrozie mienił się purpurą i fioletami, a sam Tatarkiewicz twierdził, że gdyby był dębowym okseftem, toby sobie grubo drwił z Heidelberskiej beczki. Trzeba zaś wiedzieć, że pan Tatarkiewicz widział Heidelberską beczkę, bo się włóczył po świecie, służąc wojskowo, ale gdzie się bijał, z kim i o co, nie mógł nigdy dokładnie wytłumaczyć. Pozostała mu tylko wojskowa postawa — „sztelunek", jak mawiał — którego przestrzegał nawet w chwilach zupełnego zamroczenia. Do żydów miał pretensyę, że na to tylko wody do okowity chlapią, żeby on się wodnej puchliny nabawił, a nieodstępnym towarzyszem jego był niepoczesny, rudy kundys, z jeżącą się na karku siercią, który na świniach wiejskich sam się na dzika zaprawił i mógł być do tego użytym. Tatarkiewicz wenerował go jak siódmy cud świata i upatrywał w nim wszelkie cnoty wszystkich psów na świecie.

Jak się oni tam rozumieli, wiecznie pijany Tatarkiewicz i wiecznie głodny „Murdas" — trudno wiedzieć, dość, że razem stanowili pewną potęgę myśliwską, a że przytem i Pan Bóg lotki Tatarkiewicza nosić raczył i wszelka zwierzyna na niego o zakład wychodziła, więc był wybornym strzelcem w randze podleśniczego, nie znającego się oczywiście nic a nic na leśnictwie.

— Jeszcze miareczkę, panie Tatarkiewicz.

— Wedle rozkazu jaśnie pana — i znowu jedna miareczka przeciekła do chodzącego okseftu, podczas gdy „Murdas" ogryzał kości z baraniny, którąśmy piekli na węglach.

W biwakującem gronku naszem huczało zresztą, bośmy wyśmiewali najmłodszego z Nimrodów, iż przepuścił lochę i sześć paciuków, strzelając do nich we wzruszeniu z... nienabitego lankastra.

— A pan, panie Tatarkiewicz, ubiłeś co kiedy z nienabitej strzelby?

— Wedle rozkazu jaśnie pana, bywało i tak...

— No, widzicie! A jakże to było? — wołał młody Nimrod, uradowany, że trafił się drugi taki, co strzelał z nienabitej strzelby.

— To, wedle rozkazu jaśnie pana, tak było. Książę pan miał raz gości i mówi do mnie: „Tatarkiewicz, musisz mieć capa na pojutrze, żywego, czy nieżywego, byle był." „Wedle rozkazu jaśnie pana, będzie" — i poszedłem. Ale mi było markotno, bo to sarny wyzdychały na motylicę i trudno było gdzie jaką uświadczyć. Wstąpiłem do Mordka, pytam się, czy jakiej sarny nie widział, napiłem się przytem na frasunek i ruszyłem w las. Znałem miejsce, gdzie sarny pod wieczór pić przychodziły — ale gdzie tam co znajdzie! Wlazłem przecież w jamę, którą świeża tucza wyrwała i siedzę. Już mi się cno robiło, gdy wtem widzę serwetkę przez krzaki, a tuż sadzi i koziołek. Ja do torby, żeby wpakować siekańca do lufek — a tu nie ma, zapomniałem — strzelba tylko prochem nabita. Rób teraz co chcesz, ziemię gryź! — mruknąłem ze złości — i spojrzałem na ziemię. Była to tłusta glina, jak na garnki. Więc nie wiele myślęc, drę glinę pazurami, toczę z niej wałki jak szpickugle, nabijam i mierzę. Cap schylił się do wody, a ja „cmok" leciutko, on gębę na mnie i ślepie wytrzeszcza — a ja bah! bah! z obu rurek razem. Capisko upadło, ja przyskakuję, a on żywy i zdrów, tylko ma ślepie gliną zaklajstrowane i nie wie, gdzie uciekać... Ja go tedy na smycz, i myślę, sobie, chciał książę żywego, czy nieżywego, niechże ma żywego — i prowadzę...

— Oj, łżesz Tatarkiewicz, okrutnie łżesz.

— Wedle rozkazu jaśnie pana, niech mie we czworo złamie przed skonaniem, jeśli nieprawda.

— A „Murdas" co wtedy robił?

— „Murdasa" nie było, jaśnie panie, onby poświadczył, bo to psisko rzetelne. Ale on się na drugi dzień jeszcze lepiej spisał odemnie.

— Jakże to?

— Ano tak, wedle rozkazu jaśnie pana, tylko... że mi to w gardle wyschło...

Podałem całą manierkę nieporównanemu Tatarkiewiczowi. Wypróżnił ją rzetelnie i tak opowiadał:

— Wedle rozkazu jaśnie pana, za dwa dni przyjechali goście do księcia... Ja chodziłem po polu, żeby jeszcze kilka kuropatw zastrzelić i byłem właśnie na ugorze pod lasem, którędy kolej przechodzi. Rozglądam się za kuropatwami, a tu lokomotywa świsnęła; zbudził się zając, co spał gdzieś pod krzakiem i sadzi, a mój „Murdas" za nim. Nie pytają nic, tylko sadzą prosto na pociąg. Ja oba palce do gęby i świszczę, mało mi głowa nie pęknie — ale gdzie tam, „Murdas" leci jak wściekły. Przybiegli do toru, a kopyra hyc na stopień od wagonu. „Murdas" stanął na chwilę i uszy podniósł, bo wiedział, że bez biletu wsiadać nie wolno, ale go pasya myśliwska przemogła. Dalej więc na stopień za kopyrą — i tak się gonili na okolusieńko pociągu — aż do samej stacyi. Tu dopiero konduktor krzyknął fertyg! — „Murdas" myślał, że pif! dał susa i zadusił kopyrę.

— I przyniósł go do domu? — zapytałem, parskając od śmiechu.

— Wedle rozkazu jaśnie pana, ale nie zaraz. Nie chciał wracać ciężarowym pociągiem, który stał na stacyi, bo wiedział, że się to długo wlecze, tylko czekał aż do kuryerskiego pociągu...

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie